

W numerze: MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ *Ulica Piotrkowska* ● ZOFIA TARNOWSKA *Ojciec i syn*
 ● *Prezentacje - Marian Kryszewski* ● EWA NURCZYŃSKA „*Konfrontacje 71*“ ● *Recenzje*
 ● *Felietony* ● *Zawsząd o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*



13 (749)
 26. III. 1972 r.
 Cena 1.50 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

KAROL BADZIAK

Pobili się dwaj górale...

Był późny wieczór, gdy autobus PKS wyrzucił mnie na małym rynku Krościenka. Minąłem Czarny Dunajec, o którym przygodny towarzysz podróży powiedział: „Tak sobie szedłem kiedyś Dunajcem, jak mi się podobało”. I dodał: „Daje krzepę, krasni lica, nasza łącka śliwowica”. Jeśli go dobrze zrozumiałem, to chciał przez to powiedzieć, że pod wpływem śliwowicy szedł Dunajcem, jak mu się podobało.

A skąd ja nad Dunajcem? Bo do naszej redakcji wpłynął list zatytułowany „Skarga”. Autor pisał:

„Ja, niżej podpisany, Józef Biel, z Krościenka nad Dunajcem, zwracam się z uprzejmą prośbą o pomoc i poważne potraktowanie mego listu.

W roku 1967 między mną a sąsiadem, Janem Grywałskim, oraz jego synem Marianem Grywałskim doszło do bójkki, która — powstała na tle przejazdu drogi. W czasie bójkki zostałem dotkliwie pobity przez syna sąsiada. Doznałem ciężkiego uszkodzenia ciała, gdyż miałem złamaną prawą rękę, wewnątrz ręki posiadam teraz kłamerę i cztery gwoździe.

W związku z tym, że doznałem trwałego kalectwa, wniosłem skargę do Sądu Powiatowego w Nowym Targu z oskarżenia prywatnego o odszkodowanie i rentę. Jestem rolnikiem, posiadam zaledwie 1 ha i 60 arów ziemi, które wspólnie z żoną uprawialiśmy. W czasie wypadku miałem 59 lat i pracowałem w Zarządzie Wodnym w Krościenku i na skutek kalectwa z pracy zostałem zwolniony. Obecnie jestem niezdolny do żadnej pracy fizycznej i całość obowiązków spoczywa na barkach żony, która sterana pracą i ciągłymi szikanami ze strony sąsiadów Grywałskich leka się o własne życie, co w pewnym stopniu wpłynęło na jej zdrowie. Od 1967 roku dochodzę tego, aby wynagrodzono mi moją krzywdę, jednak bezskutecznie.

Pisałem już wszędzie, ale moje pisma jak groch o ścianę wracają ponownie do Sądu Powiatowego w Nowym Targu.

Odbyło się szereg spraw, otrzymałem mnóstwo różnych wyroków, w których może jedynie rozemnać się bardzo bległy radca prawny, a nie prosty chłop, który zaledwie umie się podpisać, a przeczytać tego też nie bardzo potrafi. Zaciągnąłem w Banku Spółdzielczym w Krościenku pożyczkę w wysokości 15.000 zł, aby załatwić sprawę, dostać słusznie przysługujące mi odszkodowanie jednak lata płyną, a

Ja prócz wyroków i pism, których naskładałem już cały segregator, sprawiedliwości nie znalazłem. Jeden wyrok zaprzecza drugiemu, jeden daje, drugi zabiera, a ja cierpię nędzę i niedostatek, pracować nie mogę, by ulżyć swej żonie, która ostatnio bardzo choruje na serce. Ja zakładam sprawy i wydaję pieniądze, mój sąsiad — bogaty rolnik — rewizje i wszystko jest w porządku. Nasze nieporozumienia rosną i z każdym dnem się zaostrzają.

Dlatego piszę tę skargę i skarżę się na władze sądowe, które nie chcą, czy nie mogą wczuć się w rolę prześladowanego, znękanego człowieka. Zlikwidujcie tych biurokratów, ruszcie się w teren panowie, czy panie, a będziecie mieć ładny i ciekawy reportaż, który może zainteresować innych. Zlikwidować chociaż w części nieporozumienia sąsiedzkie i zapobiec takim lub podobnym wypadkom jak mój. Proszę o jedno, przeczytajcie ten list do brzo, przeczytajcie wszystkie te pisma, które wam wysyłam, a może zobaczycie starego górala, jak siedzi na progu chaty i czeka na sprawiedliwość, która tyle lat idzie i dojsz nie może”.

* * *

Za mostem wstąpiłem do pustej o tej porze dnia i roku cukierni. Trójka mężczyzn odpędzała sen półczarną. Okazała do zaciągnięcia języka nadarzała się stosowna. Konflikt Bielów z Grywałskimi dobrze znany jest we wsi — stwierdzili mężczyźni. — Ich nieważność wynikała z nadmiernej miłości. Przedtem to bardzo się między sobą kochali.

Nazajutrz usłyszałem te same słowa od przewodniczącego gromadzkiej rady. Wspomniano tam coś na temat niewierności małżeńskiej. A więc seks w wydaniu góralskim sprowadził się do walki o przejście do

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. W. Parys

MONIKA WARNEŃSKA

BAL W SAJGOŃSKIEJ OPERZE

Oglądałam niedawno płytę Diema. Bez pomocy przygodnie spotkanego na cmentarzu Wietnamczyka w średnim wieku, o wyglądzie typowego inteligenta, trudno byłoby mi ją znaleźć. Mogiły obu braci Ngo są wyłącznie symboliczne: białe, kamienne płyty bez żadnych znaków, dat, napisów. Przy każdej tkwi pojedyncza, wątka świeczka. Gdzie przypadły ciała tych dwóch ludzi, zło wrogo zapisanych w historii najnowszej Wietnamu — nikt nie wie.

Cmentarz Mac Dinh Chi jest „mieszany”: oprócz mogił katolickich można również spotkać na nim grobowce buddyjskie. W pobliżu płyt dla braci Ngo — płyt, których fundatorzy pozostali nieznani — spoczywa ojciec Nguyen Van Thieu. Na honorowym miejscu — obelisk z wrytymi rzędami nazwisk francuskich. Nie brak pomiędzy nimi kilku nazwisk o polskim brzmieniu... Znow odprysk wspomnień o Polakach, którzy poprzez Legię Cudzoziemską i francuski Korpus Ekspedycyjny trafili na Daleki Wschód, aby pod niebem tropiku spocząć na zawsze.

Miałam przyjemność widzieć wczoraj prezydenta Nguyen Van Thieu. Oczywiście na ekranie. Thieu wygłosił przed kamerami telewizji sajgońskiej płomienne oredzie z okazji „DNIA REWOLUCJI”. Wezwał Wietnamczyków do „zaciśnięcia pasa”, od „dalszych ofiar na rzecz kraju”, do poświęcenia, samozaparcia i do mnóstwa innych pięknych cnót, których przykładem nie świeci niestety ani on sam, ani jego najbliżsi współpracownicy.

Dalszy ciąg na str. 4



- ▲ **PREZ. NIXON** rozpocznie swą wizytę w Moskwie w dn. 22 maja.
- ▲ **PREZ. POMPIDOU** zapowiada referendum we Francji na temat rozszerzenia EWG.
- ▲ **KRÓL JORDANII — HUSAJN** ogłasza swój plan rozwiązania problemu Palestyny.

Te trzy wydarzenia minionego tygodnia zasługują na uwagę i dlatego im poświęcimy dzisiejszy komentarz.

Uzgodniony dwustronnie komunikat o terminie podróży R. Nixona do Moskwy był przedmiotem konferencji prasowej rzecznika Białego Domu. Wynika z niej, że choć czasookresu pobytu jeszcze nie ustalono, prezydent USA będzie przebywał w Związku Radzieckim ok. tygodnia, a być może — przy okazji tej podróży — odwiedzi także inne kraje. Z przewidywanym zakończeniem pobytu zbiega się sesja Rady Ministerialnej NATO w Bonn. Nie potwierdzono jednak, aby Nixon miał zatrzymać się w drodze powrotnej w NRF.

Pisaliśmy już na tym miejscu, że z rozmowami moskiewskimi łączy się nadzieje na osiągnięcie porozumienia w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych. Ale i w tym wypadku rzecznik Białego Domu był oszczędny w słowach, odmawiając wszelkich wypowiedzi na ten temat. Stwierdził natomiast, że USA i ZSRR utrzymują obecnie liczne kontakty i prowadzą rozmowy w wielu różnych dziedzinach. Są np. problemy Bliskiego Wschodu oraz zrównoważonej redukcji sił zbrojnych w Europie Środkowej — zauważył, jak gdyby sugerując, że także te kwestie mogą być tematem rozmów w Moskwie.

Brak dotychczas szerszych komentarzy prasowych o zapowiedzianych już konkretnym terminem rozmowach moskiewskich. Z pewnością jednak będzie to w najbliższym czasie temat nr 1 publicystycznych rozważań.

Asumptem do licznych komentarzy prasowych stała się natomiast kolejna, szósta od chwili objęcia fotela prezydenckiego, konferencja prasowa Pompidou. Zapowiedział on bowiem nieoczekiwane przez nikogo referendum w sprawach: przystąpienia W. Brytanii, Danii, Irlandii i Norwegii do EWG, a więc w sprawie układu, który 22 stycznia podpisany został w Brukseli oraz aktualnej polityki europejskiej Francji. Referendum na pewno odbędzie się przed 15 maja, na który to termin ustalono wizytę królowej Elżbiety we Francji.

Decyzja ta podjęta została w mniejszym stopniu względami zewnętrznymi (choć i tu Pompidou chce wykazać, iż Francja gra główną rolę w EWG) niż wewnętrznymi.

Oto, jak ocenił zapowiedź referendum z-ca sekretarza generalnego FPK — Georges Marchais: „Rząd stwierdza z niepokojem narastanie niezadowolonia ludowego i postępu w dziedzinie unii sił demokratycznych i to w sytuacji, kiedy zbliżają się wybory parlamentarne. Szuka on wyjścia ze swoich trudności, organizując referendum, które jest innym jak plebiscytem. Ma on nadzieję, że tym samym stworzy warunki nowego wzmocnienia charakteru osobistego, autorytatywnego reżimu wielkich posiadaczy. Jest rzeczą evidentną, iż przy pomocy swego plebiscytu Pompidou stara się maksymalnie zerwać siły reakcyjne i podzielić siły lewicę”.

Inaczej mówiąc — Pompidou chce scementować sojusz między partiami większości rządowej z dużą częścią centrum i złać jedność lewicy. Świadczy o tym zresztą przyjęcie inicjatywy referendum przez francuskie partie polityczne. Tylko partie koalicji rządowej odniosły się do niej z pełną aprobatą.

Bardzo reklamowane orędzie króla Husajna przyniosło kolejną sensację tygodnia — projekt powołania nowego państwa o strukturze federalnej, które objęłoby także tereny, leżące po zachodniej stronie Jordanu. W myśl tego planu Amman byłby stolicą federacji oraz regionu Jordani, Jerozolima natomiast stolicą regionu palestyńskiego.

Świat arabski przyjął propozycję utworzenia państwa arabskiego, sferderowanego z Jordanią, z głębokim oburzeniem. Plan Husajna jest bowiem pierwszym krokiem do separatystycznego układu z Izraelem. Przede wszystkim jednak proponowane rozwiązanie jest sprzeczne z żądaniami palestyńskiego ruchu wyzwoleniowego, który dąży do powstania demokratycznej arabsko-żydowskiej Palestyny.

Golda Meir przemawiając w parlamencie izraelskim formalnie odrzuciła propozycję Husajna. Komentarzy zachodni podkreślają jednak, że jest to tylko posunięcie taktyczne, obliczone na zneutralizowanie nieprzychylnych reakcji arabskich. Powszechnie przypuszcza się, że plan ten jest wynikiem rokowań jordańsko-izraelskich, chociaż temu publicznie zaprzeczono.

Jordańska propozycja może spowodować prawdziwą burzę w świecie arabskim. Komitet Wykonawczy Organizacji Wyzwolenia Palestyny wezwał Ligę Arabską do wykluczenia Jordani oraz zastosowania wobec niej bojkotu gospodarczego i politycznego. Takiej ewentualności z pewnością sprzeciwia się Arabia Saudyjska i Maroko. I tak złożona sytuacja w świecie arabskim komplikuje się jeszcze bardziej. Jakie będą tego następstwa — pokaże przyszłość.

W. SŁAWSKI

Zawszqd o wszystkim

Mgliste perspektywy

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

Ostatnie, zmasowane bombardowania powietrzne Północnego Wietnamu są najbardziej intensywne i najdłuższe ze wszystkich, od czasu „wstrzymania bombardowań” na rozkaz Lyndona Johnsona, tj. od trzech lat. Gwałtowne nasilenie aktywności amerykańskiego lotnictwa bombardującego jest faktycznie związane z pogarszającą się sytuacją militarną USA na terenie całych Indochin. W ostatnim czasie partyzanci odnieśli ogromne sukcesy w Laosie i Kambodży. Ale, przede wszystkim, dowództwo amerykańskie zaczęło przejawiać duży niepokój z powodu niezwykle skutecznego odpierania zmasowanych nalożeń amerykańskiego lotnictwa przez wojska północnowietnamskie. I chociaż Pentagon upiera się, iż w czasie ostatnich rajdów stracono zaledwie kilka samolotów, to jednak amerykańscy lotnicy, po powrocie z zadań bojowych, opowiadają o niezwykle gwałtownym ogniu rakiet przeciwlotniczych. „Widać tylko jaskrawe błyski idące od ziemi — opowiada kapitan James Cronck. — Człowiek oblewa się potem, kiedy zaczyna się to piekło”.

Jeszcze bardziej dramatyczne dla Amerykanów jest pojawianie się na niebie samolotów „MIG”. Kto tylko spotkał się z „Migami” mówi, że północnowietnamscy lotnicy są równie doskonali w powietrzu, jak ich towarzysze na ziemi. Nasilenie amerykańskich bombardowań ukazuje bez osłonek indochińską strategię Waszyngtonu w roku wyborów prezydenckich. W miarę zmniejszania się liściebroń sił zbrojnych USA w Południowym Wietnamie, bombowce amerykańskie na-

silają zmasowane wsparcie lotnicze wojsk sajgońskich. Co się tyczy „nowych” elementów strategii amerykańskiej, to w Waszyngtonie wiedzano już wcześniej, że Hanoi nie przyjmie amerykańskiego „planu pokojowego 8 punktów”, ponieważ nie ma w nim mowy o zaprzestaniu udzielania pomocy reżimowi Thieu. Niemniej Białe Dom uznał, iż po wysunięciu tego planu w toku walki przedwyborczej, problem wietnamski straci na ostrości. Większość amerykańskich osobistości oficjalnych od początku wyrażała opinię, że naloty powietrzne na Wietnam Północny nie wywrą wpływu na spotkanie w Pekinie. Sądząc po głuchoj reakcji Chin na te naloty, Waszyngton i Pekin już wcześniej musiały osiągnąć porozumienie, że sytuacja w Indochinach nie przeszkodzi podróży Nixona. Jeszcze ważniejszy jest fakt, iż Czou En-laj uzależnił swój preستيę do pomyślnego przebiegu tego spotkania. „Czou — powiedział pewien dyploma-

ta w Hongkongu — rzucił na szalę tych rozmów więcej, niż Nixon”. Jeśli ocena ta jest trafna, to widocznie chiński kamień węgielny polityki zagranicznej Nixona rokuje nadzieję. Ale drugi kluczowy element polityki prezydenta — program „wietnamizacji” — nadal wywołuje wątpliwości, nawet wśród jego zwolenników. Prawdopodobnie, w bieżącym roku słabość amerykańskich pozycji militarnych w Indochinach stanie się szczególnie widoczna. Z nastaniem suchego sezonu, partyzanci kambodżańscy już postawili armię rządową w obliczu klęski i zajęli dużą część terytorium kraju. W Laosie, mimo nie kończących się rajdów amerykańskich samolotów, wojska Patet Lao zdemontowały zdolność zadawania ciosów gdzie i kiedy tylko chcą. W Południowym Wietnamie Front Wyzwolenia Narodowego każdego dnia przysparza coraz więcej trosk przywódcom w Waszyngtonie i w Sajgonie.

Zawszqd o wszystkim

Listy DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W nr 10 „Odgłosów” ukazał się list p. Byczko omawiający pewien aspekt jednej z moich audycji radiowych oraz mego artykułu pt. „Dlaczego Łódź musi być brzydka” zamieszczonego w nr 8 „Odgłosów”. W artykule tym m. in. napisałem: „Konservator zabytków, poprzednik Antoniego Szrama tak był pochłonięty wystawianiem zezwoleń na wywóz dóbr kulturalnych z Łodzi (patrz sprawa karna przeciwko Gadomskiej i Polańskiemu w Sądzie Woj. dla m. Łodzi w roku 1967) że nie zajął się o zakonserwowanie ani jednego zabytkowego budynku”. Oczywiście chodziło tu o p. Byczko, który w swoim liście do Redakcji zareagował na powyższe stwierdzenie słowami: „Teraz znów Pan Urbankiewicz w sposób kłamliwy wypowiada się na mój

temat w „Odgłosach”. Pomijam całkowicie inne sformułowania p. Byczko, które traktuję jako wyraz jego nerwowości („zalatwienie faceta”, „zgodnie działający tandem” itp.), nie mogę natomiast przejść do porządku dziennego nad zarzutem kłamstwa, bowiem moja działalność publicystyczna (również w łamach „Odgłosów”) opiera się m. in. o dobrze udokumentowane wiadomości. Przynotowany wyżej fragment mego artykułu da się sprawdzić do dwóch zarzutów: 1) zaniedbanie konserwowania zabytkowych budynków i 2) działanie sprzeczne z obowiązkami konserwatora w stosunkach z Gadomską i Polańskim. Ad. 1) — podejmuję się poprowadzić zainteresowanych choćby do budynków przy ul. Kościuszki 93, Sienkiewicza 6, Piotrkowska 102, Karolewska róg Łąkowej i innych i palcem pokazać nieodwracalne zniszczenia, jakie w nich nastąpiły w czasie, gdy konserwatorem był p. Byczko; o ile mi wiadomo decyzja o pierwszym wyburzeniu klasycystycznego domu przy pl. Wolności (róg Obr. Stalingradu) zapadła w czasie, gdy konserwatorem zabytków był p. Byczko — był to początek końca klasycystycznego pl. Wolności. Ad. 2) — w aktach wyżej wspomnianej sprawy Gadomskiej i Polańskiego znajduje się wniosek kierownika Kolejowego Urzędu Celnego o podciągnięcie

p. Byczko do odpowiedzialności za udzielanie zezwoleń na wywóz dóbr kulturalnych z Polski. W ten sposób oba zarzuty oparte są o fakty, są to zarzuty uzasadnione. Zresztą w swoim liście p. Byczko, choć uzyskał prawo do publicznej odpowiedzi, merytorycznie odpowiedział tej nie udzielił, a poprzestął na głośliwym i niezbyt taktownym w formie zaprzeczeniu. Kończąc, pragnę Pana Redaktora zapewnić, że nie mam żadnego prywatnego powodu, by „zalatwiać faceta”. Po prostu uważam, że jeżeli niedbalstwo w wykonywaniu obowiązków, a także działanie wbrew obowiązkom jest bezkarne, niech choć publiczne napiętnowanie będzie represją i odstraszaniem. Z poważaniem JERZY URBANKIEWICZ

rzeczy schematycznego) czuje się upoważniony do publicznego osądu projektu bez jakiegokolwiek próby skontaktowania się z architektami, opracowującymi temat. Zapraszamy Red. Jerzego Urbankiewicza do Pracowni III Miastoprojektu — Łódź Miasto. Będzie miał okazję stwierdzić, że nie tylko nie niszczyliśmy Parku, ale z powierzchni 2,90 ha powiększamy go do pow. 5,15 ha. Będzie mógł się ewentualnie przekonać, że cały projekt nastawiony jest na maksymalne zachowanie istniejącej zieleni. Będzie mógł też zapoznać się z dokładną inventaryzacją zieleni omawianego obszaru, która stanowiła materiał wyjściowy do projektu, wykonana przez specjalistkę od tych zagadnień, mgr Janinę Urbankiewicz. Na zakończenie chcielibyśmy dodać, że my również zastanawiamy się „Dlaczego Łódź musi być brzydka”, starając się w miarę naszych umiejętności zawodowych uczynić ją ładniejszą. Do tego jednak potrzeba, wg nas, dobrej woli, szczerego zaangażowania i współpracy nie tylko architektów.

- Z poważaniem
- (-) mgr inż. arch. Krystyna Greger
 - (-) mgr inż. arch. Zdzisław Lipski
 - (-) mgr inż. arch. Andrzej Owczarek
 - (-) mgr inż. arch. Jakub Wujek

POLONICA

JAN KOCHANOWSKI PO CZESKU

Rok po ukazaniu się słowackiego wyboru wierszy Jana Kochanowskiego („Lira renesansowa”, tłum. Marián Kováčik, wyd. Tatran), czeskie wydawnictwo Odeon jako tom 427 swej popularnej serii „Svetova cetba” ogłosiło czeski przekład głównych utworów Jana Kochanowskiego, także pod tytułem „Renesans loutna”. Na tomik składają się m. in. „Fraszki”, „Pieśni”, „Pieśń o sobótce” i „Treny”. Znakomitego prze-

kładu dokonali: Jan Pilar i Erich Sojka. W bardzo pochlebnej recenzji („Zwrot” 1/72) Jiří Damborskij przypomina, że poprzedni zbiorok J. Kochanowskiego, mianowicie „Treny”, ukazał się w 1928 r. i odtąd poeta, słusznie stawiany obok Ronsarda, Rabelais i Szekspira, nie był w Czechosłowacji wydawany, choć istnieją 300-letnia tradycja tłumaczeń Jana Kochanowskiego na język czeski (o ile wspomniany wybór słowacki był pierwszym wydaniem książkowym Kochanowskiego w tym języku). Głośny hymn „Czego chcesz od nas Panie”, przełożył np. Jan Amos Komenský. „Lutnie renesansowa”

J. Kochanowskiego w przekładzie J. Pilara i E. Sojki, ze szkłcem Karola Krejčí'ego nazywa recenzent „znakomitą wydaną z znakomitą poety w znakomitych tłumaczeniach”. (er) SPOTKANIE Z PRZEDSTAWIELEM NIEMIEC POSTĘPOWYCH Staraniem Polskiego Oddziału S.E.C. (Stowarzyszenie Kultury Europejskiej) i komisji zagranicznej Związku Literatów Polskich odbyło się spotkanie polskich pisarzy z przybyłym do naszego kraju przedstawicielem Reinhold-Schneider Gesellschaft z Hamburga, inż.

Heinrichem Ludwigiem. Stowarzyszenie dąży do uczczenia pamięci zmarłego przedwcześnie przed kilkunastu laty wybitnego pisarza, Reinholda Schneldera, antyhitlerowca, lewicowego katolika. Propagując idee Reinholda Schneldera, towarzystwo głosi potrzebę duchowego zbliżenia z Polakami, pokonania nacjonalizmu i relików przeszłości, zachowania myśli o doświadczeniu, jakim był obóz oświęcimski. Grupa jest ono kilkaset osób z wielu krajów, m. in. NRF, NRD, Francji, Holandii etc. W. N.

POLONICA

ÓŁKA

z książkami

MEISSNER —
PAMIĘTIKARZ

Któż nie zna książek Janusza Meissnera? „Zadko Genowefy”, „Szkoła Orłat”, „L jak Lucy”... Napisał ich zresztą kilkanaście i wszystkie zdobywały sobie bez trudu czytelnika łaknącego podniebnego romantyzmu. Dziś inne już czasy i wyczyny poczelwych RWD nie wzbudzają już u czytelnika takiego dreszczyka emocji. Uznał więc Meissner, że czas już spisać wspomnienia, choć dziś zawód lotnika nie należy do wyjątkowych.

Ale kiedyś... „Wtedy z początkiem — pisze Meissner — było nas bardzo niewiele, a w Polsce za ledwie stu. Z tej pierwszej setki, oprócz mnie, pozostało jeszcze kilku. Dlatego wydaje mi się, że warto utrwalic to, co pamiętam „Jak dziś” o ówczesnych wydarzeniach, o kolegach, o własnej drodze do latania i o przygotowaniach, jakich doznałem w powietrzu i na ziemi”.

Właśnie. Bowiem życiorys ma Meissner bogaty i nie tylko zasiadał za sterami samolotu, ale i w plebiscylocie na Śląsku brał udział i działalności wywiadowczej posmakował — choć to ostatnie raczej bez powodzenia.

„Jak dziś pamiętam” nie zamyka całego życia autora. Pamiętnik obejmuje okres 1918—1922, a jak wiadomo w tych latach działo się w Polsce i Europie nieco ciekawych rzeczy. Potem działy się również wielkie i ciekawe sprawy — i niebawem przeczytamy o nich. Janusz Meissner zapewnia, że wkrótce dalszy ciąg nastąpi.

Janusz Meissner „JAK
DZIS PAMIĘTAM”, Iskry
1971, cena 35 zł.

SPOWIEDŹ PISARZA

Ta książka pisana jest w przeoczeniu śmierci — może nie takiej przerażającej i gwałtownej, jak ta śmierć, która naprawdę zabrała Jana Gerharda, ale jej piętno wyciśnięte jest na stronach „Autopamfletu”. A może to tylko złudzenie? Może ta rzeczywistość, realna śmierć autora książki sprawia, że przez jej pryzmat patrzy dziś czytelnik na losy narratora powieści. Czy jest to zresztą powieściowy narrator? Wszystkie wątki, wszystkie realia, zdarzenia i szczegóły świadczą przecie wyraźnie, że narratorem nie jest prezes Ursyn, lecz pisarz Gerhard.

Ta książka, w której przemieszano zgrzywę z seksem, kpinę z bolesną prawdą, ironię z liryzmem — ta książka zdaje się być ostatnią spowiedzią pisarza. Zamierzoną ostatnią spowiedzią. Z wyroku losu (a może historii, która Gerhardowi towarzyszyła wiernie, tak, jak on jej towarzyszył) — „Autopamflet” stał się tym ostatnim słowem pisarza.

Nie można, po prostu, nie można czytać tej książki inaczej. Tym bardziej wstrząsające czyni wrażenie. Jest to namiętny monolog, pośpieszny i gwałtowny, jest to monolog zdyszanego człowieka.

„Odczytywałem z tych żelazobetonowych kolośców całą twardość, całą ośchłość, cały smutek mego czasu, jego okrucieństwo i bezwzględność, ale i jego wielkość (...) Pojąłem, że imgo czasu nie dostanę”. A więc pozostał w tym czasie. On i jego książki — także te, w które wątpi na stronach „Autopamfletu”. I ta ostatnia — najbardziej wstrząsająca.

Jan Gerhard „AUTO-
PAMFLET”, Czytelnik 1971,
cena 24 zł.

ŁOZIŃSKI

Sam tytuł i nazwisko wystarczą — „Życie polskie w dawnych wiekach” *) Władysława Łozińskiego. Książka to już dziś przesylna, pierwsze jej wydanie ukazało się gdzieś w 1907 roku. A jednak w dalszym ciągu nie straciła uroku gawęda pana Łozińskiego, o powieści o tym, jak żyli Polacy przed wiekami.

Do wojny ukazało się... jedenaście wydań tej książki. W Polsce Ludowej wydaliśmy opowieść Łozińskiego trzy razy. Właśnie to trzecie wydanie jest jeszcze dostępne w niektórych księgarniach. Wydanie — dodajmy — piękne, bogato ilustrowane... Nie wyobrażam sobie zresztą gawędy Władysława Łozińskiego bez ilustracji, bez owych rozruchanów ze skarbcia Ostrogskich, bez pasów słuckich, szyszaków husarskich, płóców gdańskich, kontuszowych guzów rzeźbionych niczym brosze... Wydanie jest więc piękne, ilustracje są znakomitem dodatkiem do tekstu Łozińskiego, który w środku zaborów pisał o zwyczajach i obyczajach, palach i zamkach, strojach i potrawach... Pisał o Polsce, której wówczas nie było na mapie, ale była w sercach Polaków. Piękna książka sprzed prawie siedemdziesięciu lat, wciąż żywa, mieniąca się kolorami.

J. W.

*) Władysław Łoziński „ŻYCIE POLSKIE W DAWNYCH WIEKACH”, Wyd. Literackie, cena 60 zł.

Dalszy ciąg ze str. 1

studni po wodę. Trochę później jeden z członków zwaśnionych rodów zwierzył mi się w przystępie szczerości i w wielkiej tajemnicy, że miał szczęście pewien sędzia w Nowym Targu, iż wyjechał w sam raz na wycieczkę do Ameryki. Już szykowano się na niego. Myślę, że to zwykle przechwałki.

— Jak tak dalej pójdzie, to tu jeszcze do drugiego Rzepina dojdzie — zapewniali mnie goście w cukierni. — Ziemia tu pokrojona na kawalki. Zdarza się, że jeden gazda ma dwa hektary poszatkowane na dwadzieścia pięć odcinków, a bywa, że i na pięćdziesiąt. W górskim terenie dojazdy trudne, nawóz trzeba zimą saniami po śniegu rozwozić. Latem jeden drugiemu przez swoje nie pozwoli przejechać. W tym roku zapowiada się niedobrze, bo śniegu jak nie było, tak i nie ma.

Miłość, woda, nienawiść, ziemia, krew. Dodajmy do tego jeszcze śliwowicy, a nad Czarnym Dunajcem zapowiada się dramat wielkich namiętności. Krajobraz tu sielski, a sytuacja jak u Szekspira.

Józefa Biela zastaje przy wypłataniu koszyków. Zona poszła „na kominki”. Stary, zmarnowany chłop, mało mówny, bez żony się nie dogadamy. Ona tu głową domu, ona również była autorką listu. Jakiś letnik z Częstochowy poradził napisać do mnie list. Widocznie wioskowy tam—tam powiadomił ją o moim przyjeździe, gdyż za parę minut zjawiała się w chałupie. Od progu trąkocze jak szybkostrzelny karabin maszynowy. Już więcej pojmuję ze słów małowłownego męża, niż z tej maszyny do mielenia językiem, która skarży się, że na jej widok wszyscy urzędnicy w Nowym Targu i Krakowie zamykają drzwi na klucz. Rzeczywiście gazdżina może budzić strach i grozę.

Jak to się zaczęło?
— Zaraz opowiem, imo kawy zaparzę — oznajmia Bielowa.

Nie wiem, czy książki, lecz kawa na pewno trafiła pod góralskie strzechy.

Pozwolę sobie własnymi słowy streścić, czego się dowiedziałem. Grywalscy przejeżdżali po wodę do studni zablokowali ostrewkami. Ostrewki — rzecz, na których się siano w górach suszy. Biel chcąc przejeżdżać do studni, zaczął odważać ostrewki na bok w ów fatalny listopadowy dzień. Wtedy wtrącił się syn Grywalskiego, 13-letni Marian. Biel przywołał go do porządku resztką wody z wiadra, tamten mu się zrewanżował koryt-

kiem, które miał pod ręką. Po prostu cisnął tym korytkiem. Na pomoc ojcu przybiegł syn. Na odsiecz synowi przybył ojciec. I tak to się zaczęło. Czego nie udało się załatwić przy studni na własnym podwórku, usiłowano później osiągnąć przy pomocy sądu. Stary Biel oskarżył syna Grywalskiego, stary Grywalski oskarżył syna Biela. Obie sprawy o pobicie. Wygrał stary Biel, ponieważ miał lepszy dowód: złamaną rękę. Wystąpił więc ponownie do sądu, lecz już teraz z powództwa

kolejnego pokolenie psują się ludziom charaktery. Sprawy z własnego podwórka przenoszą do Nowego Targu, Krakowa i Warszawy, ostatnio, jak widać, trafili nawet do Łodzi. Nie wiem, czy w ogóle istnieje możliwość usmierzenia wielkich namiętności na drodze administracyjnej, urzędowej, sądowej. Dość trudno jest kodeksem karnym lub cywilnym zlikwidować nienawiść między ludźmi. Spór toczy się nadal. Dotychczas złamana została tylko jedna ręka. Przyszłość

wek położyć? Nie mam innego miejsca na podwórzu. On na złość bierze wodę z mojej studni. Przecież to gnojówka, która nie nadaje się do picia.

— Czy nie moglibyście się pogodzić z sąsiadem? — pytam Biela.

— Jak my możemy się pogodzić, jeszcze Grywalski nie chce zapłacić mi odszkodowania za rękę. Kiedy idę do studni, on zara wola do synów: „Chłopaki, bierzcie i bijcie tego...”.

Grywalski: „Syn Biela mnie pobił, aż miałem całe plecy sine. Założyłem sprawę w Nowym Targu. Uniewinniono go”.

Biel: „Obecnie, gdy mi ręka zmarznie, sinieją mi palce i nie mogę nawet zasnąć w nocy. Kosieć mogę tylko przez małą chwilę i tylko pół pokosa. Drzewo mogę wozic tylko cunkiem, żeby jedną ręką go podnosić”.

Grywalski: „Drzewo mnie w lesie pokaleczyło (buk dwa i pół kubika), to tak, jakby koło sześciometrowej wielkości mnie przygniotło. Jeszcze mam zęb—uszczerbiony”.

Biel: „Jak ksiądz chodził po kołędzie, to jak pogadał z Grywalskim, to nas ominął. A w Czorsztynie jest ksiądz inny, ministrantów wysłał, żeby namawiali ludzi do sprawdzania list wyborczych”.

Jan Pelczak, świadek Biela: „Ja zauważyłem podczas pracy przy budowie drogi, że Biel nie mógł robić obiema rękami. Skarżył się, że go jedna ręka boli i trzymał ją w zanadru i mówił, że złamał mu ją Grywalski. Ja tłukłem kamieniem, a Biel tylko jedną ręką je układał”.

Tadeusz Majerczak, świadek Grywalskiego: „Ja widziałem, jak Biel przecierał drzewo na cyrkulówce, kopał w sąsiada — węglarza rów, worki nosił, odrabiał także konie u Gabryśia”.

Jan Koterba, człowiek neutralny: „Ja nie rozmawiam ani z Bielem, ani z Grywalskim, bo mi się nie podoba z nimi rozmawiać”.

Biel: „Nie ma sprawiedliwości w Polsce Ludowej”.

Grywalski: „Dokąd tak mnie będą karać w Polsce Ludowej”.

Biel: „Syn mój pracuje w milicji i nic mi nie może pomóc. Jestem bezbronny”.

Grywalski: „Syna mają w milicji i chcą mnie zgnębić. Jak można tak niszczyć bezbronnego człowieka, maltretować go i wykończyć w końcu”.

Biel: „Jak jak mogę dostać odszkodowanie od młodego Grywalskiego, kiedy on nie pracuje”.

Grywalski: „Mój syn praktykował na kowala, ale zrezygnował i poszedł do Nowej Huty. A córka uczy się na maszynach elektrycznych”.

KAROL BADZIAK



cywilnego, o odszkodowanie i rentę. Na pierwszej rozprawie sąd uznał jego rację i przyznał mu 15.000 zł odszkodowania oraz 400 złotych renty miesięcznie. Płacić miał Grywalski. Grywalski odwołał się i na każdej kolejnej rozprawie, a było ich już kilkadziesiąt, suma odszkodowania i renty malała. W tej chwili renta zmalała już do zera, a odszkodowanie do 10.000 złotych.

Ale to wszystko działo się na jednym torze, drugim torem zaczęły się toczyć sprawy o owo przejeżdżanie do studni. Jak Grywalski wnoszą sprawę do sądu o zniesienie służebności przejeżdżania, to Biel wnoszą sprawę o naruszenie posiadania. I tak mogą aż do Sądowego Dnia.

Studnię wybudowali własnym sumptem ich przadziadkowie na polu Grywalskich. Korzystali z niej bez przeszkód także dziadkowie. Pradziadkowie nie przewidzieli, że wnuki i prawnuki będą czerpać z niej zupełnie co innego, niż wodę. Podobno żyli z sobą w zgodzie i przyjaźni. Widocznie z po-

maluje się jednak w czarnych kolorach. Chałupy sąsiadów ocierają się o siebie. Stary Biel wybudował synowi obok siebie nowy dom, w którym jest już woda z lokalnego wodociągu. Ale on chce mieć prawo do korzystania ze studni.

Grywalski powiada: „Dam Bielowi tysiąc złotych, żeby z tego zrezygnował”.

Na to Biel: „A ja mu dam dziesięć tysięcy złotych”.

Grywalski: „Biel przecież ma wodę z własnego zbiornika”.

Biel: „Mam, ale kto wie, czy mi nie zabraknie”.

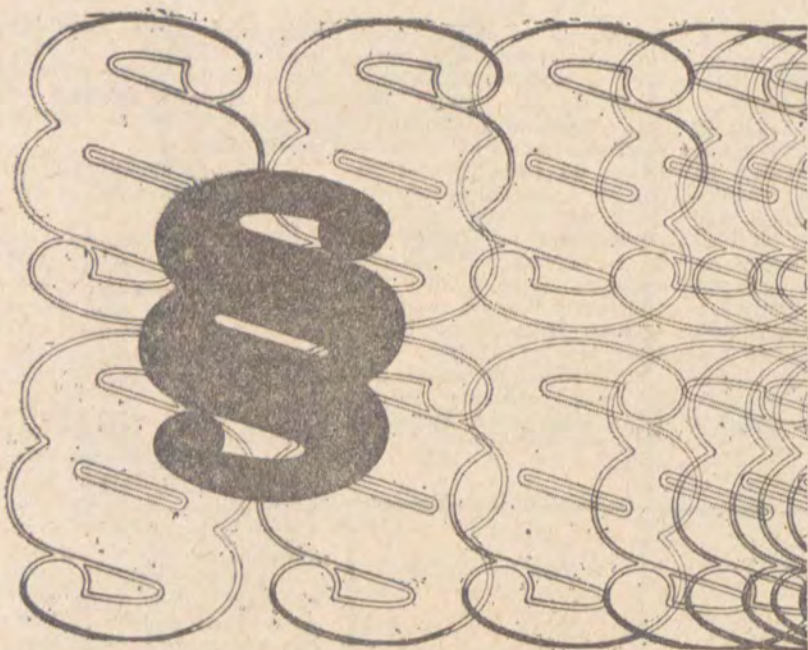
Obaj sąsiedzi twierdzą z głębokim przekonaniem, że nie ma sprawiedliwości na świecie, a szczególnie w Krościenku. Odwiedziłem Grywalskiego w jego gazdówce:

— Czy nie moglibyście się pogodzić? — pytam Grywalskiego.

— Jak my możemy się pogodzić, jeśli Biel chce mnie zniszczyć. On chce gazdować na moim. Mój ojciec na tej ścieżce wóz stawił, a ja nie mogę ostre-



Fot. J. Mendychowski



Nigdy nie był w sądzie. Teraz siedzi na ławie oskarżonych. Ma lat 64, ale wygląda na więcej. Lekarz trzykrotnie wydawał zaświadczenie o złym stanie jego zdrowia i trzykrotnie przesuwano termin rozprawy. Stary człowiek jest chory na gruźlicę. Błada, napuchnięta twarz, wyblakłe oczy, bezzadnie opuszczone ręce, pochylone plecy. Kuli się w sobie, jakby mu było bardzo zimno.

* * *

— Oskarżony, proszę wstać.
— Oskarżony zrozumiał treść aktu oskarżenia? Czy przyznaje się do winy? Jakże składa wyjaśnienia?

Treść aktu oskarżenia, zarzut, wyjaśnienia. Trudne słowa, obce, niezrozumiałe, dalekie. Rozlegają się głośno, ale nie wywołują odzewu. Trzeba je powtarzać jeszcze raz — bardziej zrozumiale.

— Zabiłem... ale ja nie wiedziałem, że zabiłem, uderzyłem tylko raz, raz go uderzyłem.
— Oskarżony uderzył syna raz nożem w brzuch, a potem wymierzył mu ciosy siekiarą w głowę. Miał kilka ran na głowie od siekiery.

— Raz go uderzyłem, tak mnie złżył...

Wysoki Sąd nie może wyluskać z opowieści oskarżonego wersji zabójstwa tak jasnej, jak w akcie oskarżenia. To przesłuchanie jest męczarnią. Fakty są poplątane w kłęb, z którego wysuwa się dziesięć wątków. Wszystko się rwie. Raz po raz sąd sięga do akt sprawy, odczytuje zeznania, żąda potwierdzenia lub zaprzeczenia, dodatkowych wyjaśnień, danych z życiorysu. Sąd musi wiedzieć o wszystkim, poznać każdy z elementów

ZOFIA TARNOWSKA

OJCIEC I SYN

osobowości zabójcy i okoliczności wielkiej winy.

* * *

Jerzy i Leokadia S. mieli wówczas siedmioro dzieci. Najstarszy syn miał 41, najmłodsza córka 23 lata. Wówczas, to znaczy w zeszłym roku, w czerwcu, kiedy ojciec zabił drugiego syna, 39-letniego Jana. Tego wieczora Jan powrócił do domu pijany. Nie położył się jednak spać. Zszedł do sąsiadów, którzy życzliwie przyjmowali pijaka, bo i sami lubili popić. Pili z nim. Matka zeszła na dół i naklaniała Jana do zaprzestania picia i powrotu do domu. Nie chciał. Wreszcie, kiedy był już bardzo pijany, przyprowadziła go przy pomocy sąsiada do mieszkania. I wówczas wszedł do domu ojciec. Pijany syn zaatakował go, obrzucając najgorszymi słowami. Groził, że zabije. Przerastająca matka pobięła po sąsiada. Przyszli, położyli awanturnika spać. W drugiej izbie rozdygotany ojciec

klął się na spoczynek. Leżał, ale nie mógł zasnąć. I nie zasnął. Syn ocknął się z pijackiego snu, podbiegł do leżącego ojca i zaczął go bić, a za razem syptały się słowa jeszcze bolesniejsze, słowa — ciosy, słowa — rany. Wyrzucił ojca z mieszkania. Matka znów pobięła wołać sąsiadów na pomoc. Tymczasem pijany zaczął się ubierać i groził, że idzie po syna swej konkubiny, by ten dał szkołę ojcu. Ojciec wrócił do izby. Może obecność sąsiada dawała mu poczucie bezpieczeństwa? Ale wówczas syn, nie licząc się z obecnością obcego człowieka, popełnił czyn haniebny, brutalny, nieetyczny, którego opisać nie sposób. Znieważony, upokorzony, zmaltretowany człowiek chwycił długi nóż z kredensu i ugodził nim syna w brzuch. Był może znieczulony alkoholem mężczyzna nie czuł bólu, a może ból wyzwoił w nim nowe siły do ataku na ojca? Szedł ku niemu, a wtedy stary człowiek sięgnął po siekiere...

* * *

Prokurator powiedział: czy musiało dojść do tego? Jeżeli przez szereg lat wychodził i uciekał przed synem — dlaczego tego dnia

wtedy obrzucał ojca wulgarnymi słowami, bił go, grożąc pozbawieniem życia. Jerzy S. w wyniku tych awantur i bicia zmuszony był przez ostatnich kilka lat tulać się i spać u znajomych i rodziny. Jan był nie tylko na utrzymaniu ojca, ale kradł różne przedmioty w domu, które wynosił i sprzedawał na kupno alkoholu, a jeżeli pracował, to zarobione pieniądze po większej części przepijał. Rodzina Jerzego S. naklaniała go do ponownego zamieszkania w domu, by w ten sposób skłonić syna do zmiany trybu życia. Powrócił do domu wiosną 1971 r., ale jego obecność nie wpłynęła dodatnio na postępowanie syna.

* * *

— Jak to — zapytał sąd matkę Jana, a żonę oskarżonego — świadka w tej sprawie, zagubionego w podwójnej tragedii: czy świadek nie mogła powiedzieć synowi, że jeżeli nie będzie żył na życie, to nie da mu utrzymania?

— Jak to, proszę sądu, mogłam powiedzieć: — Janek, jak nie dasz, to nie będziesz jadł? — przecież to było dziecko!

— A jaki był syn dla świadka? — Był bardzo brutalny, prosił sądu, ubliżał takimi słowami... ty stara... ja ci ręce połamię. Sprawdzał kolegów, pili wódkę, jedzenie przygotowane dla ojca dawał na zakąskę, a jak maż zwracał uwagę, to go bił i wyrzucał z domu.

— Świadek nie szukał pomocy w milicji, prokuraturze?

— Z pięć razy, albo więcej, byłam na milicji, bo już nie mogłam wytrzymać. Milicja mówiła, że mogą wsadzić, a ja prosiłam, żeby nie wsadzać, bo może się poprawi. Nie poprawił się, to maż poszedł z domu, najpierw do córki, potem do kuzyna, rentę mnie oddawał, a ja mu córki dawałam. Raz to spał w komisariacie i w parku i na schodach. A ja też uciekałam z domu. My z tych cierpień książkę możemy napisać.

* * *

Córka. Rozmawiam z nią. I zadaje to samo pytanie, co sąd: jak mogłście do tego dopuścić? Jak można to było znieść przez tyle lat, dlaczego nie oddaliście go na przymusowe leczenie?

— Oddaliśmy, jak milicjant przynosił wezwania, to on dał. I nic mu nie zrobili. On pracował kiedyś w milicji. Wyrzucili go za pijalstwo. Pokradł mundur, ojciec zapłacił. Raz go zabrali z domu.

Nim ja z matką wróciłam z komisariatu, to go przywieźli z powrotem, śmiał się z nas, ojca uderzył i wtedy ojciec się wyprowadził. To było dwa lata temu. Było śledztwo przeciwko niemu, ale umorzyl.

Dlaczego umorzyl? W aktach sprawy znajduje wyjaśnienie. Postawiono odmówić wszczęcia postępowania, bo w trakcie czynności sprawdzających ustalono, że awantury w rodzinie S. miały charakter sporadyczny, a w ogóle rodzina prosiła tylko o skierowanie

syna na leczenie odwykowe. Złożenia protokołu zameldowania odma-wia — dzielnicowy wobec tego postanowił odmówić wszczęcia postępowania.

No, tak. Spełniono życzenia rodziny. Tak było najprościej. Nikt nie potrafił przekonać matki, żeby nie litowała się nad synem.

— Cała rodzina nie umiała załatwić konfliktu — powiedział prokurator. — Pozostawiono ojca na pastwę pijaka.

Obrońca mówił: Jakże łatwo powiedzieć, że rodzina mogła zapobiec. Jerzy S. cały czas szukał pomocy, złożył doniesienie do MO, umorzono postępowanie, bo żona cofnęła wniosek. Przecież urząd prokuratorski wiedział, co trzeba zrobić. Chodziło o leczenie. Dlaczego nikt nie doprowadził go do poradni, zgodnie z postępowaniem przymusowym? Ojciec ubiegał się o inne mieszkanie dla siebie, żony i córki. Nawet odpowiedzi nie dostał.

A inni świadkowie? Sąsiedzi? 20-letni Zdzisław L. popijał sobie z Janem S. Używany był „po koleżeńsku” za gońca po wódkę, Pili równo.

— Jak było w tej rodzinie? — zapytał sąd świadka.

— Różnie bywało, jak w rodzinie, awantury też.

— Jak świadek myśli — dlaczego?

— Myślę, że głównym powodem była wódka.

* * *

To nie był brak szacunku czy uczuć synowskich wobec ojca, to było zniechęcenie — powiedział sędzia w uzasadnieniu wyroku, skazującego Jerzego S. na 3 i pół roku pozbawienia wolności. Maltretowanie i zniechęcenie się nad oskarżonym było przyczyną zbrodni przez niego popełnionej. Gdyby nie cios nożem — sytuacja mogłaby być odwrotna: zabójcą stałby się syn, który — jak powiedział jeden ze świadków — „nie był człowiekiem”. Jednak czyn, jakiego dopuścił się Jerzy S. nosi znamiona wielkiej szkodliwości społecznej. Ojciec nie może wymierzać takiej sprawiedliwości synowi!..

Po stokroć prawda. Był czas i byli ludzie, którzy powinni wymierzyć sprawiedliwość Janowi S. Znaczenie wcześniej, używając tych samych argumentów oskarżycielskich. Był czas i sposób zapobieżenia zbrodni, która kształtowała się latami. Jak można było ulec argumentacji matki, nieświadomej istoty ratunku dla syna w prokuratorskiej interwencji? Łatwo powiedzieć, że jeżeli prokurator powiatowy odmówił prowadzenia postępowania przeciwko synowi, to należało się zwrócić do prokuratora wojewódzkiego. Tak można mówić do człowieka, który legitymuje się pewną świadomością prawną. Ale w tym wypadku i w dziesiątkach mu podobnych, kształtowanie tej świadomości należy przede wszystkim do organów ścigania. Bo kiedy wkracza wymiar sprawiedliwości, jest już za późno.

ny Diema). Za sprawą tego ostatniego znikło „gdzieś” jak kamfora całkowite wyposażenie obozu wojskowego Red-xliife o wartości — błałostka! — 29 milionów dolarów. Ani jednego z tych dzentelmenów nie można uważać za „męża opatrnościowego”. Trudno byłoby również szukać zbawców ojczyzny wśród innych ministrów, senatorów oraz różnego autoramentu dygnitarzy reżimowych. Wiadomo: jaki pan, taki kram.

„Minister ekonomii Phan Kim Ngoc zapowiedział dokładną kontrolę sklepów celem zapobieżenia paskarstwu. Równocześnie zaprzeczyl pogłoskom, jakoby najnowsze oszczędnościowe rozporządzenia ekonomiczne powzięte zostały pod naciskiem USA. W tym samym przemówieniu Ngoc stwierdził, iż nieprawdą jest, jakoby otrzymał on 5 milionów piastrow łapówki z restauracji Dong Khanh za udzielenie zezwolenia na produkcję tradycyjnych ciastek z okazji jesiennego święta dziecka — Tet Trunh Tran. Minister obiecał pociągnięcie oszczędzów do odpowiedzialności”.

Tyle agencja urzędowa „Vietnam Press”.

Na razie nic nie wskazuje na to, żeby wbrew zapowiedziom reżimowy prezydent zechciał dobrowolnie opuścić swój „posterunek” (czytaj lukratywną posiadkę z łaski Amerykanów). Wymieście go kiedyś z prezydenckiego pałacu Gia Long historia. Historia, której bieg na próżno chce Thieu powstrzymać mnóstwem drutów kolezastych i zwiększoną ilością zasieków, jakie rozciągnięto przed świętem. Historia, przed którą zabezpiecza się, lokując swoje kapitały w bankach zachodnioeuropejskich.

Ulice Nguyen Hue i Tu Do wydają się szarozielone od mundurów amerykańskich. Nowe worki z piaskiem piętrzone obficie przed budynkiem JUSPAO. Jak święto, to święto! Po mieście krąży więcej niż zwykle zielonych autobusów z oknami osłoniętymi stalową siatką. Są to autobusy for Americans only. Ulicą Nguyen Hue spacerują wietnamscy „długowłosi”, których ulubionym miejscem spotkań jest „Cristal” — nocny klub w pobliżu ratusza. Na ulicy Tu Do pojawili się amerykańscy hippleci, brodac i kudłaci. Wśród nich rudy jak wiewiórka i niesamowicie brudny dryblas, bliźniaczko podobny do Mansona, o którego zbrodniach obficie pisze prasa. Śródmie-

ście Sajgonu w przeddzień „DNIA REWOLUCJI” wydaje się bardziej zamerykanizowane, niż kiedykolwiek.

Przed ratusz zajeżdżają wytworne limuzyny, jedna po drugiej. Niebawem rozpocznie się przyjęcie rządowe z okazji „DNIA REWOLUCJI”. Prześluduje mnie myśl niedorzeczna: gdyby tak zabawić się w Nikodema Dymą i spróbować „na wariata” wejść do rzeźnicy oświetlonego wnętrza budynku? Mityguje mnie jednak własny trzeźwy rozsądek. Widać, jak pałac obstawiony jest policją. Taką próbą bez wątpienia zakończyłaby ostatecznie moje sajońskie penetracje i peregrynacje. Nie warto ryzykować.

Przystanąwszy w dogodnym punkcie obserwacyjnym naprzeciwko ratusza, śledzę zajeżdżające samochody. Z nieodpartą siłą kolaczę mi w pamięci słowa tuwimowskiego „Balu w operze”. Ten świetny poemat mimo pozornej odmienności scenarii pasuje jak ulał do sajońskiego „cyрку”, czyli do sajońskich realiów związanych z reżimowym świętem:

*Dzisiaj wielki bal w operze,
Sam Potężny Archikrator
Dał najwyższy prokurator,
...Na ulicach ścisł i zator,
Ustawili się żołnierze,
Blyszczą kaski kirasjerskie,
Blyszczą buty oficerskie...*

Wszystko się zgadza. Co prawda reżimowy premier Tran Thien Khiem zapowiedział wejście w życie zarządzenia dotyczącego oszczędności i ograniczeń w dziedzinie przyjęć, obiadów, bankietów, lunchów, dinnerów, cocktaili i tym podobnych. Ale to rozporządzenie pozostanie na papierze, jak wiele innych podobnych dekretów, i nikt go nie weźmie na serio.

*„Wszelka dziwka małtki pierze
I na kredyt kiecki bierze...”*

Panie z ulicy Tu Do blisko ratusza, uprawiające wiadomą profesję, przygotowały się sumiennie do dzisiejszego

BAL

W SAJGOŃSKIEJ OPERZE

Dalszy ciąg ze str. 1

„Jestem świadomy — cytuję za prasą — że jeśli zamiast zbawiać naród, działam na rzecz komunistów, to stanę przed sądem ludu i historii. Jeśli to, co uczynię dla narodu, nie zostanie przez niego przyjęte, będę zmuszony opuścić moje stanowisko, gdyż chcę zbawić naród, nie tylko służyć mu, jako prezydent...”

„Skladając to oświadczenie — komentuje „The Vietnam Guardian”, dziennik w angielskim języku, ukazujący się w Sajgonie — prezydent Nguyen Van Thieu był tak wzruszony, że telewizywnie widzieli izy, obficie spływające po jego twarzy...”

Krokodyły izy pana Thieu nikogo nie omamią. W Sajgonie mówi się — i to bynajmniej nie półgłosem — że prezydent cierpie pokazne zyski z nielegalnego handlu narkotykami; że do współników jego należą bliski doradca Dan Van Quang, szef policji sajońskiej Tran Than Phong oraz general Ngo Dinh (ale nie Diem i nie krew-

PREZENTACJE

W budynkach przy zbiegu ulic Bocznej i Tylniej mieści się Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych Polskiej Akademii Nauk. Obok zakładów, zajmujących się chemią organiczną, znajduje się tam również Zakład Polimerów, którym kieruje — prof. dr **MARIAN KRYSZEWSKI**, pełniący również funkcję dyrektora do spraw naukowych Centrum. Ponieważ budynek przy Bocznej jest w tej chwili w trakcie adaptacji, większość zakładów korzysta z gościnności Politechniki Łódzkiej. Idąc na rozmowę z Profesorem czułam się tak, jak czuje się student idący na egzamin. Moja wiedza o polimerach nie wykraczała poza wiadomości podstawowe, a w szkole średniej nigdy nie należałam do mocnych w fizyce.

— A jak było z chemią? — zapytał Profesor.

— Zupelnie dobrze.

— To w porządku, bo polimerami zajmuje się nie tylko fizyka, ale przede wszystkim chemia. Wiedza o polimerach należy do nauk granicznych, które obecnie są najplodniejsze. Do nich należy także fizyko-chemia, biofizyka, czy biochemia. Są to również dziedziny, które mają największą przyszłość poznawczą, a także praktyczną.

— Od jak dawna trwają badania nad polimerami?

— Od lat dwudziestych naszego wieku. Zainteresowano się już przednio smolami, które powstawały w wyniku reakcji związków organicznych o małym ciężarze cząsteczkowym, a które wówczas, po prostu, odrzucano. Niektóre z reakcji poznanych wtedy wykorzystano do celów praktycznych. Na przykład bakelit wytwarzano już przed I wojną światową. Same polimery, czyli substancje wielkocząsteczkowe, których cząsteczki zbudowane są w długie łańcuchy, istnieją tak dawno jak świat.

— Łatk zwykły sobie kojarzyć polimery z tworzywami sztucznymi.

— Niesłusznie, bo polimery to także białko, celuloza, jedwab, wełna, skóra, włosy...

— Będzie to zaskoczeniem dla wielu czytelników.

— Dla pani też, jeśli powiem, że nie tylko ubrana jest pani w polimery, ale że również pani oczy, włosy, kształt ust, nosa i cała pani budowa wiąże się z polimerami.

— Jak mam to rozumieć?

— Po prostu kwasy nukleinowe w których zawarty jest kod genetyczny, decydujące o cechach dziedzicznych, są substancjami wielkocząsteczkowymi — polimerami.

— Czy nauka może już w tej chwili zastąpić przyrodę w tworzeniu polimerów?

— Tylko częściowo. Przyroda robi to lepiej, z większą wydajnością. My ją zaledwie nieudolnie naśladowujemy. Za mało na przy-

MARIAN KRYSZEWSKI

kład jeszcze wiemy, żeby poważnie mówić o sztucznym wytwarzaniu białka organicznego, które



miałoby zdolności reprodukcyjne, a więc mogło się mnożyć.

— Byłby to sztucznie wytworzony przez człowieka organizm żywy?

— Tak, ale to jeszcze bardzo odległa przyszłość, o której na razie czyta się tylko w powieściach fantastycznych.

— Wróćmy zatem do teraźniejszości, do tematów Pańskich badań naukowych.

— Może ja najpierw wyliczę chociaż część problemów, którymi zajmuje się moja pracownia w Zakładzie Polimerów PAN, a potem spróbujemy to wyjaśnić dokładniej. A więc badamy właściwości fizyczne polimerów i ich zależność od struktury, badamy własności różnych mieszanek polimerów, możliwość przewodzenia prądu elektrycznego, zależną od budowy polimerów, półprzewodnictwo i fotoprzewodnictwo polimerów, staramy się analizować metody „barwienia” polimerów, zastępując pigmenty łączeniem cienkich folii o różnym współczynniku załamania światła, opracujemy również metody pokrywania różnych elementów o skomplikowanej budowie mikroskopijnymi warstwami polimerów, a także na wzór metalurgii staramy się tworzyć „stopy polimerów”.

— Jest tego tak dużo, że nie wiem, czy uda się wszystko dokładnie wyjaśnić.

— Na pewno nie, ale możemy dokonać wyboru. Nasz Zakład Polimerów zajmuje się m. in. szukaniem sposobów tworzenia polimerów ze związków uznawanych za chemicznie trwałe. Na przykład do tej pory uważano, że takim związkiem jest benzen. Staramy się też nadawać nowe cechy znanym już polimerom: poliamidom, poliakrylonitrylom, polietylenom i innym.

— Za badania dotyczące polimerów półprzewodzących otrzymał Pan Profesor nagrodę im. Marii Curie - Skłodowskiej?

— Tak, ale jest to inna nieco dziedzina badań. Chodzi w niej przede wszystkim o takie „sterowanie” procesem powstawania polimerów, aby można było im nadać pożądane cechy. Istotną rolę spełniają tu badania, mające znaczenie poznawcze i praktyczne. Wielkocząsteczkowe półprzewodniki zastosowane w technice mają tę zaletę w porównaniu z klasycznymi półprzewodnikami, że nie muszą być tak czyste jak one, są katalizatorami, mają właściwości magnetyczne i wykazują fotoprzewodnictwo.

— W jakim stopniu badania Zakładu Polimerów są wykorzystywane w praktyce?

— Z żalem muszę stwierdzić, że w niewielkim. Ale też i charakter naszych badań jest przede wszystkim

kim poznawczy. Naszymi wynikami powinny interesować się placówki naukowe związane z przemysłem i dalej je rozwijać. Niektóre mogą mieć jednak bezpośrednie zastosowanie praktyczne. Uzyskaliśmy na przykład ostatnio polimer siarki, który używany przy malowaniu pasów na jezdniach, doprowadziłby do znacznych oszczędności, gdyż takie pasy byłyby dużo trwalsze. Będziemy mieli też propozycję dla przemysłu optycznego — badamy zjawiska fotochromowe, które mogą mieć zastosowanie przy produkcji okularów fotochromowych.

— Czym takie okulary różnią się od używanych obecnie?

— Są to okulary dla ludzi, którzy muszą nosić przyciemnione szkła. Wykorzystując właściwości fotochromowe polimerów, można by pokrywać szkło ich mikroskopijną warstwą, która pod wpływem promieni ultrafioletowych ciemniałaby lub rozjaśniała się zależnie od stopnia natężenia tych promieni.

Mam nadzieję, że tymi przykładami przekonałam panią, że rozmowa o polimerach nie jest taka straszna.

— Przekonał mnie Pan Profesor. Chciałabym jednak zapytać, jak doszło do Pańskiego zainteresowania, się fizyką i chemią. Czy już w szkole?

— Raczej nie. Dopiero na studiach wybrałem ten kierunek. Studiowałem równocześnie fizykę i chemię na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Po obronie pracy doktorskiej i docenurze w Toruniu przez pewien czas byłem na stażu we Francji. Wróciłem do kraju i osiadłem w Łodzi, którą zresztą pamiętałem ze studenckiej praktyki w 1948 roku, w ówczesnym Głównym Instytucie Włókiennictwa.

— Czy wrócił Pan do Instytutu?

— Nie. Objąłem Katedrę Fizyki w Politechnice Łódzkiej. Z uczelnią tą utrzymuję kontakt również obecnie, po przejściu do Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN. Przewodzę w Instytucie Polimerów PL zespół fizyki polimerów i wykładam, przede wszystkim, dla doktorantów.

— Ciekawa jestem, czy ta dziedzina wiedzy cieszy się popularnością u młodej kadry naukowców?

— Tak. Wychowałem już 14 doktorantów i 2 habilitantów. Poza tym, zarówno w Instytucie Polimerów PL jak i w Zakładzie PAN, często goszczą na stażu naukowcy z zagranicy.

— To zainteresowanie zagranicznych ośrodków naukowych Łódzkimi placówkami badawczymi jest chyba wyrazem uznania waszego dorobku. Czy są to również kontakty wzajemne?

— Oczywiście. Badania polimerów są dynamicznie rozwijającą się dziedziną nauki i wymagają

ciągłej wymiany doświadczeń. Ja sam dość często wyjeżdżam z okazji różnych kongresów naukowych, a także w związku z publikacją moich książek za granicą. Często też do Łodzi przyjeżdżają naukowcy z różnych krajów, którzy interesują się Polską nie tylko z powodu polimerów. Latem na przykład odbędzie się kongres naukowy w Helsinkach, więc mogę przy tej okazji spodziewać się odwiedzin wielu osób.

— Będą to pewno też wizyty towarzyskie?

— Raczej tak, bo w czasie licznych pobytów za granicą, nawiązałem szereg bliższych kontaktów, a nawet przyjaźni.

— Czy to nie jest kłopotliwe pełnić rolę gospodarza?

— Jeśli nawet tak, to z zupełnie innego powodu, niż pani myśli. Moi goście domagają się zazwyczaj polskich potraw, a wybór nie jest w końcu taki duży.

— Co jest dla Pana odskocznią od pracy zawodowej?

— Regularnie chodzę do teatru, kina i filharmonii. Słucham też muzyki w domu.

— Muzyka poważna?

— Wyłącznie, chociaż mam również zbiór płyt z muzyką beethovenowską. Kupuję je dla synów, z którymi mam umowę dzentelmeńską — słuchają ich pod moją nieobecność. To, oczywiście, nie znaczy, że tej muzyki nie znam i nie oceniam.

— Utubieni kompozytorzy?

— Interesuje mnie strona muzyczna — konstrukcyjna, śledzenie myśli kompozytora. I dlatego lubię na przykład muzykę Pendereckiego, ale głównie słucham trzech panów na „B” — Brahmsa, Beethovena i Bacha.

— Widzę tu analogię do pańskich zainteresowań naukowych. Bach był mistrzem muzyki polifonijnej.

— Chyba pani ma rację, bo zawsze interesuje mnie struktura dzieła. Tego szukam również w literaturze.

— Kiedy Pan Profesor znajduje czas na to wszystko?

— Narzućcie mi sobie pewien reżim intelektualny. Przyjąłem zasadę Karola Libelta „uczyniwszy raz wybór, na wieki wybierać muszę”. I stosuję ją w życiu. Stąd na przykład znajduję czas na czytanie książek nie tylko z mojej dziedziny. Co miesiąc czytam przynajmniej dwie powieści. Najchętniej psychologiczno — analityczne.

— Gdyby Pan miał wybrać tylko dwie książki na długą podróż, to co by Pan ze sobą zabrał?

— Coś z twórczości Josepha Conrada, chyba „Smugę cienia”. A druga? Może którąś książkę Mauriaca? Nie. Jednak „Hamleta”.

Rozmawiała:

BOGDA MADEJ

święta. Klientów będzie więcej niż zwykle. Amerykanie napłynęli bowiem w znacznej ilości. Niewątpliwie mnóstwo pań bierze kiecki na kredyt, albowiem wszelkie materiały importowane, sprowadzane z Francji, z Japonii, z Hongkongu zdrożały znacznie w ramach tak zwanych rządzeń oszczędnościowych. Panie odbijają sobie zwykłą cenę na klientach.

„Na ratuszu bije druga,
Na tajniaka tajniak mruka,
Na widowni i w sznurowni
I pod dachem i w kottowni
I pod sceną i w bufecie,
Na galerii i w kloziecie,
W kancelarii i w malarni,
W garderobach i w palarni,
I w dyżurce u strażaka
Mruga tajniak na tajniaka...”

Wszystko się zgadza. Tyle, że godzina wcześniejsza, niż w poemacie. Ale wzmozona czujność i „szczujność” policjantów widoczna jest na każdym kroku. „Na tajniaka tajniak mruka” u wszystkich narożników ulicznych, u każdego skrzyżowania śródmiejskich arterii. Przejżdżają radiowozy. Jest ich więcej niż zwykle. Migają w przelocie pręty anten. Błyskawiczna kontrola motocyklistów. Dwukółowe pojazdy hamują z piskiem. Na każdym rogu patrol złożony z trzech policjantów. Jeden w białym mundurze, drugi w oliwkowym, trzeci w plamiastym, i w czarnym berecie. Ten ostatni należy do sił specjalnych ARVN*). „Tajniaki z tyłu, tajniaki na przedzie”.

Na ulicy Tu Do inne swoiste ostre pogotowie. „Dziwkom lylko słodko drzą”. Wysztafirowane, wymakijażowane, czekają na klientów, liczniejszych, niż w inne dni.

W okolicznych hotelikach
Całą noc robota dzika,
Seksalny kontredansik:

Na momencik, na kwadransik,
Na portiera tajniak mruka:
Portier — owszem, portier — sługa...

Każdy portier to stręczyciel. Dobrze o tym wiedzą w sajgońskich lokalach. Zbliżywszy się od strony budynku JUSPAO i kina „Rex” do gmachu ratusza, widzę, że naprawdę „szofer szofera macią ruga” (po wietnamsku oczywiście), gdyż samochody tłoczą się, powodując ścis. A gości wciąż przybywa.

I buldogi pełnomocne
I terriery
I burbony i szynszyle
I ordery.
...Admirały, generały,
Bojarowie,
Bambirały, grubasowie,
Am!
Ba!
Sado!
Rowie!
Razi!
Dwa!
Hurra, panowie!

Hurra, panowie!

Hurra, panowie!

Jadą na przyjęcie dowódcy, rozkazujący żołnierzom, o których wedle tygodnika „Time”, amerykańscy ich towarzysze broni mówią: „Zaden z nich nie jest wart splunienia”. Jadą dygnitarze wojskowi, zarabiający miliony na kradzieżach, czyli elegancko mówiąc na defraudacji amerykańskich dostaw. Jadą ministrowie — lapówkarze, kombinujący z restauratorami na Cholonie. Jadą deputowani, których synalkowie przepuszczają setki tysięcy piastrow w knajpach i w nocnych lokalach. Jadą wysocy dostojnicy, zamieszani w afery związane z narkotykami, z nielegalnym obrotem dewiz, z handlem żywym towarem — w afery, tuszowane szybko i dyskretnie. Trudno, aby było

inaczej, jeśli w podobny sposób pomnaża swój majątek sam prezydent Thieu. Jaki pan, taki kram.

...Z satyrycznym erotyzmem
Na tajniaka tajniak mruka...

Ulica Tu Do (to słowo znaczy po wietnamsku „wolność”) ożywiła się. Piski i chichoty dolatujące z barów o romantycznych i fluternych nazwach mieszają się z donośnym rykiem grających szaf. W hotelu „Oskar” rozochocony GIS wymyśla sobie świetną iraszkę: będą wciągali przy pomocy liny uplecionej z ręczników prostytutki na pierwsze piętro. Schody? Windy? Po co?! Jak zabawa, to zabawa! Jak święto, to święto?

Nie ma już niebiańskich znaków!
Małpa toczy się w zodiaku!
I wisząca ciężka zmorą
Nad tą groźną nocą gwieźdzną,
Każe tańczyć gwiazdozbiorem,
Gdy małpiarzy diabli biorą,
Diabli biorą...

Można powiedzieć o tradycyjnym kalendarzu wietnamskim w zestawieniu z sajgońską rzeczywistością, że:

Na przystankach dawnych zwierząt
Siadło szpetnych małp dwanaście...

Małp jest znacznie więcej — i wciąż nadal kręcą się na zodiakalnej karuzeli południowowietnamskiej. Bał w sajgońskiej operze jeszcze trwa. Warto mu się przyjrzeć, zanim na scenę wejdą i przemówią pełnym głosem inni aktorzy.

MONIKA WARNEŃSKA

Fragment przygotowywanej do druku książki: „VIETCONG JEST WŚRÓD WAS”.

*) ARVN — sajgońska armia reżimowa.

Krótki deszcz

Deszcz, chłopczyzna bosonogi,
Bez koszuli, deszcz golasek
Biegnie, nie szukając drogi,
Długonogi, poprzez laszek.

Tańczy w liściach po dolinie
Deszcz ukośny, szparki kropi —
Nim w zapachach kwiatów minie,
Piłtwa, ziemi i konopi.

Przepadało. Pojaśniało.
Trawy diamentami kwitną.
W blask wilgotny się odziało
Wszystko: nagość i błękitność.

Skończył kogut piąć i wyszedł.
Dziobnął w srebro, co w kałużach.
Tylko bujnych kropel słyszę
Jak się szepta w strzech przedłuża.

ANATOL IMERMANIS

Jeśli chcesz pijanym być i szczęśliwym,
Pijanym nie od leż, lecz od radości,
Wiosny się doczekaj. Bezpłatnym piwem
Každy kłon skwapliwie ciebie ugości.

Czy słyszysz, jak chmiel wre i kipi w beczce,
Świat odzyskując aż po niebios strop?
Oto brązową pianą po chwileczce
Pączki wybijają zimy biały czop!

Szepty, niekiedy westchnienie
I trele słowika,
Srebro i ciche szumienie
Sennego strumyka.

Nocne światło w nocnych cieniach,
Ciemność nieprzebrana,
W czarodziejskich przemienieniach,
Wciąż twarz ukochana.

Różu w obłokach poczęcie,
Bursztynu błyskanie,
I piessczota, i zakłęcie,
I już brzask, świtanie!

Przełożył: JAN HUSZCZA

ULICA PIOTRKOWSKA — struna, napięta na gryf Górnego Rynku, nerw i główna arteria wielkiego miasta. Właściwie liczy się ona na odcinku zamkniętym między ulicami Nawrot a Przejazd.

Na tym odcinku trwa nie kończąca się defilada światła, wspaniałych witryn sklepowych, ozdobnych fasad i portali gmachów, wielopiętrowych kamienic. Asfaltową jezdnią defilują powozy, samochody, tramwaje, dorożki. Chodnikami płyną tłumy ludzkie — kolorowa kra — wytworne panie, panowie w pięknych kapeluszach i czarnych melonikach, gimnazjści, pensjonarki... Nasilenie, zagęszczenie tego ruchu ma swe apogeum między Przejazdem a Traugutta. Tu jest ów słynny „deptak” — miejsce spacerów, spotkań i demonstracji łódzkiej młodzieży ze śródmieścia.

Stoisz przy rogu Nawrot i Piotrkowskiej. Tu już ruch śródmiejski topnieje, wygasa. Zawsze, nim ruszysz w prawo, w stronę deptaka, patrzysz na dom do dziś budzący grozę. Krwawa tragedia, jaka się tu rozegrała, stała się tematem brukowej ballady, śpiewanej we wszystkich dzielnicach miasta:

Zapadła noc głucha,
Z siekierą Laniucha,
Do państwa Tyszerów
Zakrada się...

W tym domu bandyta, owiany legendą, budzący podziw i grozę, wymordował siekierą rodzinę Tyszerów, właścicieli składu fortepianów i pianin.

— Co, znowu leżysz na deptaku? — pytają matki swych podrastających synów.

— A co, nie można się nawet przejść?

— Uważaj, żeby ci jaka Laniucha siekierką łba nie rozwali!

No, cóż... miły początek trasy. Taki sygnał. Ostrzeżenie. No, tak, z okien freblówki pani Cholewickiej, do której kiedyś uczęszczałeś, widać tę krwawą kamiennicę. Przyspiesz kroku. Idź dalej lewym chodnikiem Piotrkowskiej. Zobacz, jak rozstawione latarnie grają twym cieniem w ping-ponga: raz jestem przed tobą, raz za tobą, czasem wygasa mnie światło witryny. W perspektywie, przed tobą, kolorowa luna światła, rymująca się odbiciem w mokrym asfalcie. Zaraz spojrzysz w prawo. Przyjemnie zapuścić oczy w tunel bramy, której sklepienie wymoszczone podszewką z tysiąca kolorowych lampek. To tak wciąga i wabi do siebie wejście do kina „Palace”. W gablotkach za szkłem błyszczą foty ze słynnymi gwiazdami ekranu. Idź dalej. Na trotuarach coraz więcej ludzi. I coraz więcej światła. Znowu stajesz i patrzysz na przeciwległą stronę ulicy, na kokieterijną architekturę jednopiętrowego domu, który pulsuje światłem, kolorem, muzyką. Środkiem budynku biegnie wielki napis: ESPLANADA. Za szklaną ścianą o wielkim, półowalnym kształcie, snują się sylwety kelnerów i tańczących par. Gra orkiestra jazzowa braci Chwat. Tanga, walce, foxtrotty... Stoisz. Słuchasz. Przepływa przez ciebie słodczy melodyj. Wiszące w powietrzu płyty światła drżą drobnymi deszczem. Z daszka czapki spada ci na twarz wielka, ciężka kropla. Jest ciepło. Jak dobrze tak stać i słuchać.

— Cześć, Filozof!

— A... cześć!
— Coś tak korzenie zapuścił w bruk?

— Nic... słucham Chwatów.

— Majera nie widziałeś.

— A bo co?

— Nic. Jak go zobaczysz, to

Stoisz chwilę, wciągasz w nozdrza te zapachy i patrzysz w górę, przez szyby, na rozświetloną salę, gdzie siedzą przy stolikach wytworni goście.

Znowu jesteś przy rogu. Właśnie stąd zaczyna się deptak. Biegnie

Właśnie takie buty noszą negatywni bohaterowie — symbole z satyrycznego pisma „Mucha”: Wuj Sam, rekin kapitalistyczny, burżuj, czy Al Capone. Takie buty noszą liczni ojcowie twych kolegów z gimnazjum.

Zaciągnął cię do YMCA. Czyściutkie salki, jasne lampy, na ścianach komunikaty, zdjęcia, afisze. Młodzi szachiści marszczą czoła nad szachownicami. Janusz kapryśnie, od niechcenia kartkuje gruby katalog, śmieje się:

— Sama wślazła w rękę. Patrz, jestem głodny — a tu jakaś powieść pod tym właśnie tytułem.

— Jaki autor?

— Diabła tam z autorem! I tak czytać nie będę. Byle ruch i książka na koncie.

— To daj mi to do domu.

— Bierz, bracie, tylko nie zgub.

Wychodzisz z bramy na Piotrkowską i nagle Janusz zginął ci w tłumie. Czekasz chwilę i idziesz dalej. Ciężko z tyłu, z każdym krokiem intensywniejszy w czerni. Zbliżasz się do światła najbardziej luksusowego kina „CASINO”. Nie na twoją kieszeń. Ale można obejrzeć foty: „Dziś Greta Garbo! Kobieta — szatan! Wstrząsająca tragedia...”

Stoisz na rogu Benedykta i patrzysz przez mżący kapuśniaczek na wielki, niedostępny, tajemniczy gmach Grand Hotelu. Nie chodź dalej. Nie warto. Tam już światła coraz bardziej topnieją, rzędnie tłum, coraz mniej młodzieży, coraz więcej szarych przechodniów, pierwsze czarne chałaty biedoty żydowskiej, która tu nieśmiało zapuszcza się z niedalekiego getta. Cóż, tam będzie już tylko wielka wystawa sklepu firmy A. I. Ostrowski, gdzie ściągają gapiów piękna, czarna kaszeczka, dalej księgarnia Tybera i ulica Dzielna. Schowaj książkę za pazuchę, bo zmoknie na kapuśniaczku. A może by wracać Alejami Kościuski? Szeroko, przestronnie, pusto. Skręcaj w lewo, w ciemną ulicę. Głęboko, topnieją na szarym trotuarze. Jak cię ostrzec, obronić? Lepiej wracaj. Jak późno... Z czarnego

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Ulica Piotrkowska

(FRAGMENT POWIEŚCI O ŁODZI MIĘDZYWOJENNEJ)

mu powiedz, że z jego Andzia włoży się do deptaku ten filmon od Zimowskiego.

— A co masz taki bąbel na wardze?

— Graliśmy w „czapę”.

— W jaką „czapę”?

— Ech, ty świętoszku — to nie wiesz? Jak skleisz kilku kumpli na deptaku, wchodzi się w ciemną bramę, staje się w kółko i po jednym cugu na zmianę ciągnie się papierosa. Komu pierwszemu spadnie popiół — to w czapę! Całą piątką. Można i na ostro, jako chłopaki z Bałut czy Chojen.

— Co to znaczy — na ostro?

— Nie w czapę, a w mordę. I widzisz — przypaliłem sobie wardę. No, cześć! A, zaraz, zapomniałem powiedzieć najważniejsze, że każdy z zawodników podczas krążenia fajki musi grać w „jojo”. To cześć!

Zrobiło ci się smutno. Bezbrzeżnie smutno. Przed „Esplanadę” podjeżdżają raz po raz powozy i dorożki. Jeszcze odliczysz trzy podjeżdżające dryndy — i pójdziesz dalej. To taka bezpłatna gra loteryjna, na której się nie nie wygrawa. Jedna... druga... trzecia... No, idź już dalej. Była umowa, że tylko do trzech.

To już kwestia kilkunastu kroków, żeby stanąć przy rogu Przejazd. Wlot tej ulicy w Piotrkowską ma szczególny urok i smak. Dwa głośnie kina, wpatrzone światłami w siebie przez szerokość ulicy: wytworna, elegancka „LUNA” w gmachu równie wytwornej „TIVOLI”, a vis a vis, w niewysokim budynku — kino „Odeon”, którym zarządza ojciec twego kolegi szkolnego, pan Bialkowski. Bywała czasem szansa dostać się tu bez biletu. Zajrzyj do hallu „LUNY” — niewielka odchyłka od trasy. Grono wytwornych pań i panów, zapach perfum i cygar, szerokie schody, pokryte purpurowym chodnikiem, lustra, palmy i bileterzy w kapiących od złota uniformach.

— A ty gdzie wiałysz, gówniarzu? Na bilet masz? Jak nie — to zjeżdżaj! — mówi portier kina, służąc grzeczny wobec jednych, a brutalny i chamski wobec innych.

— Ty sługusie burżujski — rzucaj mu w odpowiedzi i wyskakujes na ulicę.

Z kuchni „TIVOLI”, mieszczącej się w piwnicach, wydobywają się przez żelazne kraty przy chodniku wspaniałe zapachy kuchenne.

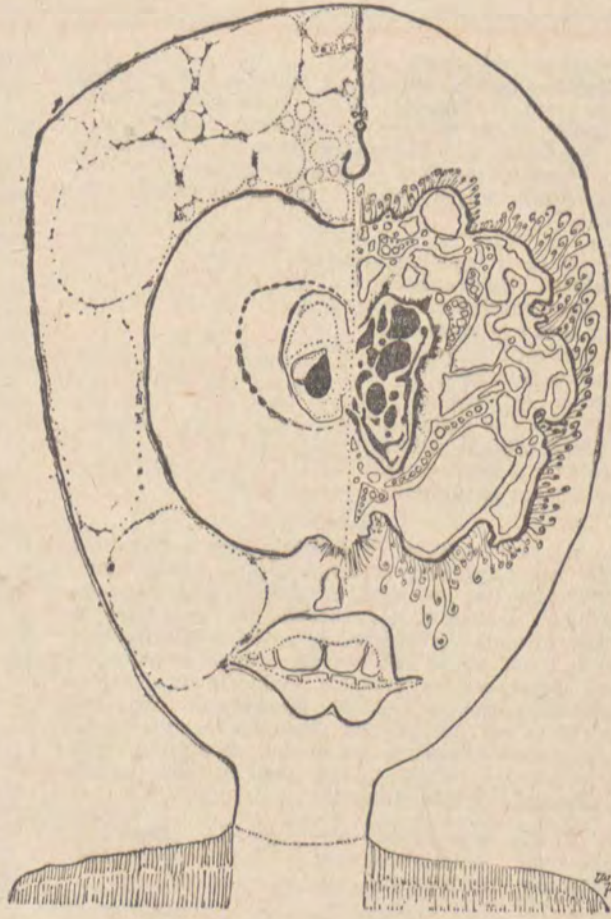
lewą stroną ulicy w kierunku starego Ratusza. Tu godzinami, ruchem wahadlowym — od Przejazdu do Dzielnej, od Dzielnej do Przejazdu i z powrotem, włoży się ta sama pożądana młodzież ze śródmieścia — zięczna, agresywna, krzykliwa, wyzywająca w eleganckich mundurach i szynelach. Tu szarpają się w podbiegach rozemnianie, zczepione ze sobą ramionami pensjonarki, prowokujące, lub po królewsku dumne. Czasem mignie „białoczerwona czapka „Bratniaka”, czy wyszywana złotem korporantka zaglądających do swego miasta rodzinnego studentów. Ci nieliczni studenci w bezuczelnianym mieście, są przedmiotem podziwu, szacunku, zainteresowania — podobnie, jak strojni podchorążacy — szczególnie ze strony pensjonarek. Trzeba umieć pływać w tym burzliwym, jak górski potok, tłumie. Z różnych stron słychać bez przerwy głośnie: „Cześć”, „Czołem”, „Serwus” znających się wzajem stałych bywalców deptaka. W głębi ciemnowych bram jarzą się ogniki papierosów. Są to przeważnie bramy przelotowe, w razie niebezpieczeństwa można nawiewać na Kościuszki.

Sklep z pieczywem braci Kopczyńskich. Nicco dalej wystawa, przy której musisz się zawsze zatrzymać: dubeltówki, sztucery, flowery, wiatrówki, pistolety, pasy z patronami, pudełka z amunicją, noże myśliwskie... Jakże to wszystko piękne, kształtne, wabiące!

— Uważaj, bo wystrzelił! — ryczy jakiś bawół — i pcha ciebie na szybę witryny. Przez moment wypchana wiewiórka jest tu przy twój twarzy, oddzielona tylko grubością szyby.

Idź dalej. Nie daj się sprowokować. Ryczący bawół nie idzie bez obstawy. Zapamiętaj tylko sobie tę krociatą gębę. Jeszcze się z nim kiedyś rozliczysz.

Zawracasz. Teraz postój przy sklepie „BATA”. Jak magnes ciągną wzrok białe, mocne, logiczne w swym kształcie, prawdziwie męskie buty futbolowe, przedmiot najwyższego pożądania. Białe pantofle tenisowe, gimnastyczne, szermiercze, buty turystyczne o ściętych, twardych nosach, filigranowe pantofelki damskie w bogatej gamie kolorów, wreszcie męskie półbuty o wydłużonych, wąsko zakończonych szpicach, lśniące lakierem. Ten model odpychasz oczami z pogardliwym obrzydzeniem



Rys. L. Woźnicki

wnętra bramy wychodzą trzy smukłe damy. W karminowych ustach „Damesy”, na ramionach wyliniałe lisy. Jesteś w okrążeniu, jak twój dziki mustang.

— Można prosić o ogień?
— Nie palę — odpowiadasz i oblewa cię gorący pot.
— Lena, to z fabrykanckiego gimnazjum.
— Może wstąpisz, chłopczyku, na chwilę do mnie?
— Proszę mnie przepuścić!
— No, chodź na ciepłe nóżki. Nie bój się.

To pierwsze twoje spotkanie. Jaki potworny, nieprzeczuwany strach. Drżysz ze strachu. I z obrzydzenia. Roztrącasz je siłą i uciekasz jak wariat w kierunku świetła Piotrkowskiej. Serce łomocze ci w piersiach, zwalniasz, stajesz. Opanuj się. Uspokój. Nie ci przecież nie grozi. Zawracasz na deptak. Czujesz się bezpiecznie w tym kotłującym się tłumie.

— Cóż tak zbladł, może byś co zjadł — mówi do ciebie nagle Kazik Kozanecki i wyciąga grabę na powitanie.

— A jakbyś zgadi! — mówisz, nadrabiając miną i na dowód wyciągasz zza pachy książkę. — Patrz, czytaj: „Jestem głodny”.

— Mnie na te głodne kawały nie nabierzesz. Cześć. Ja do Cyrulskich!

Idziesz wolno i myślisz o Kaziku. Dziwny chłop! Flegmatyk w każdym ruchu, na zwolnionym biegu, idąc śmieśniej ugina kolaną przy każdym kroku. A przecież na boisku zmienia się w iskrę. Piłka chodzi przy nim jak pies. I świetny strzelec...

Za tobą klaszcą końskie kopyta. Wypzredza cię powóz i nagle staje. Tak. To stary Barciński chwytą cię delikatnie za ramię. Uśmiecha się przyjaźnie i mówi: — Czy można pana podwieźć kawalek? Pan mnie poznaje, prawda? Mam do pana kilka słów.

Widywałes go czasem, jak podzucal powozem przed gmach gimnazjum swego syna, Marcellego. A ten „pan” podleczał cię, prawda?

— Antoni, jeźdź wolno naprzód — rzucił kuczerowi. — Można zobać, co to za książka?

Podałes mu ją. Ho, ho, Georg Fink „Jestem głodny”. Czytałem ją — mówi i czeka z przejeźdzenia. — Mocna rzecz. Nie wiem tylko, czy ten Fink to komunistą, czy anarchistą. Jak pan sądzi?

— Nie wiem. Jeszcze nie czytałem.

— Komunizm... duży problem, ale nie dziś i nie u nas.

— Nie wiem. Nie znam się na polityce, proszę pana.

— Powiedz mi pan, ale tak szczerze, jak rodzonemu ojcu: czy Marcellemu nie dokucają w szkole? On jest taki wrażliwy!

— Dlaczego mają mu dokucać? Jest wśród samych swoich.

— Co znaczy: wśród samych swoich? — pyta i patrzy podejrzliwie.

— Wśród kolegów, wśród rówieśników. Zresztą kawał chłopca, nie dałby sobie jeździć po nosie.

— Pan by nie chciał mu dawać korepetycji? U nas w domu.

— Przecież to świetny uczeń. Lepszy ode mnie.

— Wie pan, chodzi o trochę polskiego. On tak nieznośnie wymawia „ł”, a na końcu zdania on musi zawsze zaśpiewać w górę. I miałby dobrego kolegę. Wie pan, on taki sam.

— Muszę spytać się rodziców. Ale to nie ma sensu.

— No, niech pan się namyśli. Ja będę czekać na odpowiedź. Marceli mi mówił, że pan się przysięgnął z Eisenbraunem. Znam starego Eisenbrauna. A co to, Barciński gorsi od nich? U nas też mogą być korty. Pogracie sobie trochę, pogadacie — no?

— Ja się muszę spytać w domu... Bardzo panu dziękuję za podwiezienie. Już moja ulica, Nawrot. Dowidzenia.

— Dowidzenia!

Ileż zdarzeń, ile spotkań, ile doznań w ciągu jednej godziny na deptaku ulicy Piotrkowskiej.

Dziwne miasto, o którym mówią wokół: Manchester, miasto przemysłowe, miasto robotnicze, rewolucyjne, miasto czerwone, miasto bezrobocia... Z okien wysokiego piętra widać wprawdzie sterzące kominy fabryk, dymiące i martwe, wprawdzie spotykasz co dzień ciągnące Nawrot, Kilińskiego, czy Sienkiewicza dwukonne rolwagi, naidowane be-

lami bawełny, węglem, koksem, skrzynkami... Wprawdzie budzi cię co dnia przeciągły, przenikliwy głos syren fabrycznych. Wpatrujesz się w płynące rymszokami ścieki fabryczne, mieniające się ostrymi kolorami tęczy... Wdychasz ten słynny wiatr z Widzewa. Wprawdzie wielu twych szkolnych kolegów, to synowie przemysłowców, których nazwiska, bite na metkach, znane są w całej Europie... Ale w jakich podziemiach ukrywa się ta armia wielotysięczna robotników i włókniarzy? Mijają się w godzinach wazse trasy. Po rannym wyciu syren ponownie osuwasz się w sen. Nie do pomyslenia spotkać ludzi, odzianych w szare, drelchowe, ubrudzone smarami „ancugi”, ludzi o ziemistych twarzach i popękanych, jak wyschnięta gлина, dłoniach; jest nie do pomyslenia spotkać w barwnym tłumie śródmieścia, na deptaku, kobiety w kraciastych chustach, o dłoniach zniekształconych supłami żył... Nie widać ich w śródmieściu, w kawiarniach, w ogródku TIVOLI, w kinie, w teatrze, filharmonii, w drodze, w parku, w Galerii Sztuki, w wielkich magazynach, czytelnich, bibliotekach, muzeach. To byłoby dziwne i śmieszne. Dla ciebie — i dla nich. Kryją się w mroku, mgie i ciemności, za szarymi deskami próchniejących domów i plotów dalekich rozległych dzielnic, w tragicznie smutnych, ceglanych, czy szarych „koszarach” przyfabrycznych, gdzie na krańcach Ogrodowej, przy Wodnym Rynku, w rejonie Górniaka, za torami na Widzewie... Tam równie głupio i niepewnie czulby się spacerowicz ze śródmieścia. Przypomniałes sobie dwa sąsiadujące ze sobą akwarium z gimnazjum. Śródmieście — to tężowe ryby pod kloszem świetła. Nieznane ci bliżej dzielnice, dalekie przedmieścia — to szare groty żółtawo, podmyte brudnym bajorem. Owszem, widziałes kilka razy groźny tłum robotników w czasie krwawych pochodów 1-majowych. Ale wyglądali wtedy inaczej, niż spotykani przygodnie na ulicach w zwykłe dni. Ubrani odświętnie, z czerwonymi kokardkami przy kłapach, z czerwonymi opaskami na ramionach, z laskami w dłoniach, śpiewający pieśni, których treść przejmowała cię grozą. Skąd się biorą takie piękne, chwytające za serce melodie, do tych „pełnych grozy słów”?

„Gdy naród do boju...”

I ta dumna, światoburcza strofa refrenowa:

„O czesze wam panowie magnaci,
Za naszą niewolę, kaidany,
O czesze wam książka... pralaciu...”

Po czyjej stronie było twoje serce, gdy nagle na ten sunący tłum spadali ukryci w bramach policjanci i cywile i bili kołbami na oślep, po głowach, po ostantających się rękami; bili żywych, konkretnych ludzi — mężczyzn i kobiety. Chwiały się i padały na bruk transparenty, czerwone sztandary, padali na bruk ludzie... Po czyjej stronie było wtedy twoje serce?

— Po żadnej. Albo po każdej.

Odnawiała ci się blizna po dzikim mustangu, brzmiała ci w uszach słowa dziadka: „Co za bydłak! Co za łajdak”, majaczyła ci przed oczyma biała ręka, zawinięta po łokieć i dziwnie zacięty uśmiech na twarzy Turlejskiego i płynący obłok syngarlic...

Po cóż wchodzą tu, na nie swój teren, do śródmieścia? Dlaczego na ich czerwonych szandarach nie ma srebrnego orla? Dlaczego w tym pochodzie tyłu Żydów, którzy przecież mają swoją dzielnice? Dlaczego w pieśni rymują magnatów z palatami? Dlaczego w ich okrzykach stale slychać słowo niewiast: „Precz!?” Dlaczego twoi koledzy szkolni nie wyjeżdżają wtedy powozami na miasto, dlaczego stają się milczący, uprzejmi, dlaczego wiążą się w dyskusujące szeptem grupki i milkną, gdy do nich podchodzisz? Dlaczego wychowawcy w ten dzień nie pozwalają włóczyć się po mieście?

Dlaczego nie idą w pochodzie sklepikarze z ulicy Nawrot, „Wiliuś” i nasz „dozorca „Mazurcio”, zbójnik z budki opalowej, „Somaszad” z przeciwicka, dziobaty oprych z sąsiedniej bramy, „Entre”, pan Grodzki, Krupiniński, portier z „Luny”, kelnerzy z „Esplanady”?

Jedną tylko godziną, spędzona na deptaku Piotrkowskiej a tyle zdarzeń, spotkań, doznań, refleksji. A książka, którą niesiesz w zanadrzu, rozleje ci się bólem i smutkiem w twym sercu na długo...

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Lekcja tradycji narodowej

„Aurelian albo zjazd koleżeński” jest książką, której akcja obejmuje lata tuż przedwojenne oraz okres okupacji, ale gdybyśmy usytuowali ją tylko w tym wycinku historii, byłoby to wielkim uproszczeniem. Następnie tu zdarzenie najważniejszego z przeszłości, lecz i to jeszcze nie decyduje o walorach powieści. Zjazd koleżeński wychowanek pewnej podwarszawskiej szkoły staje się powodem do przeprowadzania najróżniejszych konfrontacji w czasie i przestrzeni, penetracji w głąb przeszłości, ocalenia od zapomnienia epizodów nie należących do stereotypów powieściowych. Narracja prowadzona jest w pierwszej osobie, zresztą nie trudno dopatrzyć się w powieści autobiograficznych wątków. Obfite realia historyczne, rozległe tło społeczno-obyczajowe determinują wyobraźnię pisarską, odwołania do własnej biografii są chyba wtedy najszcześliwszym rozwiązaniem. Poza tym sam pisarz nie kamufłuje za dużo swoich intencji, tym bardziej jeśli zakłada wierność wobec historii.

Tę powieść można uznać zarówno za współczesną jak i historyczną. Współczesną w tym znaczeniu, że po pierwsze dotyczy się bezpośrednio uczuć i przeżyć autora, a po drugie, że tematycznie obejmuje czasy nam współczesne. Historyczną z tego względu, że ewokuje te treści, które drzemają bądź już w naszej podświadomości, bądź też odeszły bezpowrotnie. Powieść nie jest zbudowana na zasadzie linearnej, nieustannie pracuje pamięć narratora — w celu rekonstrukcji przeszłości, tym samym przeżywa współczesne dyktują — tok wspomnieniowy, fabularny, a więc inny od tradycyjnego czasu powieściowego. Z każdym rozdziałem poszerza się plan sytuacyjny, wkraczają coraz to nowi ludzie, autor przechodzi od własnego środowiska domowego, poprzez szkolne, proletariackie do chłopskiego. Niezwykle bogate słownictwo, wykreślenie bohaterów poprzez silną indywidualizację języka — wszystko to składa się na możli-

wie panoramiczne oddanie klimatu poszczególnych środowisk. Sympatie autora wyraźnie stoją po stronie tradycji inteligentckich. Mają one swoje głębokie uzasadnienie: wysocy rozwinięta świadomość narodoła, patriotyzm, ciągłość określonych tradycji kulturalnych.

Nie oznacza to wcale, że autor nie widzi cech ujemnych kręgu, z którego się wywodzi. Autoironia przeplata się stale z apologią. Jest to jednocześnie charakterystyczna cecha pisarstwa Chróścielewskiego, który daleki jest od wszelkich dycho-tomicznych schematów. Konsekwencje takiej postawy sięgają głęboko i ich egzemplifikacją jest propozycja nowogohatiera. Przewijające się w powieści wątki autotematyczne w głównej mierze są polemikami „ze schematami literatury wojenno-okupacyjnej”. W „Aurelian” mało znajdziemy opisów sytuacji „z bronią w ręku”, mimo że przylaczająca część powieści dotyczy się patriotycznych kręgow młodzieży lat okupacji. Autor kładzie większy nacisk na opis innych sposobów walki z okupantem, sposobów często dyskusyjnych, szczególnie dla tych, którzy tamtych czasów nie przeżyli. Zwłaszcza tytułowy bohater nie jest oszczędzany przez pióro pisarza. Typowe dla inteligenta wahania w sytuacjach wymagających jakby się zdawało jednoznacznego zachowania są kwestia alternatywna, bowiem pisarz drącąc głębokie tunele ludzkiej psychiki znajduje nie tyle usprawiedliwienie takiej postawy, ile jej zrozumienie. Zachowań ludzkich nie można przeciwieństwem uniformizować. Czy można więc ocenić negatywnie niemieckie lektury Aureliana w okresie okupacji, ucieczki przed żandarmerią, Oświecimeń?

W tym miejscu wydaje mi się, że dochodzimy do kulminacyjnego problemu „Zjazdu koleżeńskiego”. Autor nie wychodzi z apriorycznych założeń dotyczących etyki czuwopawia, a poza tym nie uzurpuje sobie roli mentora, moralizatora; jest co najwyżej moralistą. Bohaterami jego powieści są „cisi bohaterowie”, którzy niejednokrotnie

większą czasami przeżywalni tragedię, aniżeli ci „z pola walki”. Jest w tym zawarta ostra polemika z preferowanymi postawami w naszej historii i w czasach nam współczesnych. Człowiek nie jest złym, ani też dobrym; te manichejskie kategorie w każdym z nas się splatają i nigdy jednoznacznie nie możemy podsumowywać działalności człowieka. Górę oczywiście bierze nie nienawiść, a miłość jako główna siła motoryczna rozwoju społeczeństw. Stąd też chodzi piarzarzowi o jak najpełniejsze naświetlenie sytuacji, w jakich znaleźli się bohaterowie. I dlatego subiektywny opis własnych zachowań kontrolowany jest przez spostrzeżenia i oceny innych ludzi. Zresztą nie tylko Aurelian, ale reszta bohaterów umieszczona jest w kilku perspektywach w związku z tym możemy mówić o znacznej obiektywizacji opisu narratora.

„Aurelian albo zjazd koleżeński” jest także powieścią polityczną. Główny bohater przechodzi pewną ewolucję poglądów, ale tylko pewną, bo wiele zasad wyniesionych z domu rodzinnego nie podlega żadnym metamorfozom. Obowiązek względem ojczyzny, świadomość nosiciela określonych treści historycznych to constants psychiki Aureliana. Gruntowne przeobrażenia społeczne pierwszych lat nowej Polski uświadamiają bohaterowi racje innych warstw; Aurelian to wchłania, akceptuje, ale nie odzgałnuje się od tradycji. I w tym też tkwi novum tej powieści, wiodącej dyskurs z tymi poglądami, które za początek dzieł owych ojczystych uważały rok 1944. Tak „siekiera czynioną” podział naszej historii doprowadził do wypaczeń w latach następnych, do tego że warstwa ludzi — nosiceli głębokich racji historycznych, narodowych stała się marginesem narodu. Lektura „Aureliana” przypomina, że błędy takowe mogą okazać się fatalne w skutkach dla naszego narodu, przypomina też i o tym, że aby wnieść coś rzeczywistoci trwałego dla przyszłości, niezbędny warunkiem jest poznanie i możliwie obiektywne zrozumienie przeszłości ojczystej.

Mało ukazuje się tego typu książek, książek tak potrzebnych, a jeszcze mniej się mówi o tym, co jest rzeczywistym gwarantem naszej egzystencji duchowej. Odrębną stroną „Aureliana” stanowi warstwa stylistyczno-językowa, niezwykle adekwatna do treści. Ale o tym przy innej okazji, gdyż szerepek ramy recenzji na omówienie jej nie pozwalają.

Tadeusz Chróścielewski, **AURELIAN ALBO ZJAZD KOLEŻEŃSKI**, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1971, str. 404, cena 23 zł.

BERNARD SZTAINERT

Doktor Aleksander Skwarczewski

Zmarł doktor Aleksander Skwarczewski — Przyjaciel Malarzy i Poetów. Lekarz w swej praktyce tak dalece ofiarny i bezinteresowny, że niejedną nawet czynił mu z powodu tej krańcowej postawy zarzuty.

Doktora poznałem przed dwudziestu laty, w Spale, gdzie opiekował się grupą sportowców. Pokazywałem mu moje pierwsze drukowane wiersze, mówił mi o nich, mówił o sobie. Doktor wiersze przeczytał — powiedział kilka zdań ostrych i powściągliwych, o sobie nie powiedział nic. Potem zaproponował mi dłuższy spacer leśną drogą. „Niech pan tyle nie myśli” — mówił. — „Niech pan patrzy na drzewa, na kamienie...” Zaszapałem się i zmeczyłem, nie mogłem dotrzymać Doktorowi kroku. Doktor był rosty, silnie zbudowany i umięśniony, bez grama zbędnego tłuszczu, twarz miał łagodnie uśmiechniętą, wiele widział, lecz jego przenikliwość nie była zimna, ostra — przeciwnie — jej figurę wydawała się umięśnioną syntonią — współgrania z ludźmi i pewna z nią związana, niezwykłe silna intuicja dobroci.

Doktor wiele o ludziach wiedział, ale wybaczył im wszystko. „Pan jest zbyt otyły” — powiedział, wieczorem tego samego dnia zbladł mi serce i zapisał lekarstwo. Nade wszystko zalecał spacer, gimnastykę. „Zabiorę kiedyś pana w górę” — powiedział. Ie razy spotkałem Doktora i przypadkowo powiedziałem o kimś, że jest chory, Doktor mówił: „Idziemy, chcę go zobaczyć”. I Doktor szedł ze mną do obcego człowieka, badał go i leczył. Słowo „obcy” jest tu niewłaściwie użyte. Wydawało się, że dla Doktora Skwarczewskiego nie ma obcych ludzi, z każdym, już po kilku minutach rozmawiał jakby wiele o nim wiedział i, co najdziwniejsze, o

każdy istotnie bardzo wiele wiedział. W czasie dwudziestu lat naszej znajomości Doktor zbesztal mnie tylko jeden raz, mianowicie wtedy, kiedy mając dużo pieniędzy, chciałem mu zapłacić za leczenie jednego z moich znajomych. Wtedy właśnie nastąpił ten wybuch gniewu: „Panie Bernarde, pan się zapomina!” — krzyczał Doktor, szybko jednak wrócił do właściwej sobie atmosfery, atmosfery łagodności i siły.

Tak wiele pracował, a był ubogi, mógł wiele zarabiać, a zarobki odrzucał. Ożył się tylko w osobistych sprawach, wtedy, kiedy mówił, że Jego Matka, Eugenia, znowu małuje, ba, mimo podeszłego wieku maluje więcej niż kiedykolwiek. Z nadzwyczajnym napięciem śledził los każdego malowanego obrazu — gdzie ten obraz wystawiono, kto go zakupił...

Bardzo interesowały go wiersze, zdumiewające, jak wielu pacjentów powierzało Mu swoje wiersze. Doktor pokazywał mi te wiersze, agitował za ich drukowaniem, agitował zapa-

czywie. Przekonywałem go, że wiersze tych ludzi to nie przejaw autentycznego talentu, to tylko wyraz ich wrażliwości i kultury. Doktor jednak w podobnych dyskusjach był twardej i trudnym przeciwnikiem. Jego widzenie spraw sztuki było ostre, a argumenty precyzyjne i sugestywne. Kiedyś powiedział mi, że sam pisze wiersze, pokazał je nawet. Własnych jednak wierszy nie chciał drukować.

W Jego bagaż śmierci trudno było uwierzyć, to zdumienie wyczuwalne było nawet jeszcze na ementaruju, gdzie przyszło tak wliu Jego Przyjaciół, bardzo od siebie różnych, a przecież ściśle ze sobą tą właśnie Przyjaźnią dla Niego połączonych. Książd porównywał życie Doktora do rzeki, mnie się wydalo ono podobne do książki o nieskończonej ilości zdań, książki, której Zmarły był wielkim młotkiem. Coś, zabrakło Kozę, kogo nikt nam nie zastąpi. Umarł Doktor Aleksander Skwarczewski — Przyjaciel Ludzi.



Melchior Wańkowicz i autor artykułu

Fot. L. Olejniczak

JAN KOPROWSKI

Odwiedziny u Melchiora Wańkowicza

W tym mieszkaniu na piątym piętrze przy ulicy Puławskiej 10 nie jestem po raz pierwszy. Teraz siedzę w gabinecie pisarza. Pokój niewielki, wąski, z wyłożonymi wzdłuż ścian książkami, masywne biurko, lampa przesuwana, fotele na kółkach. Pijemy nalewkę na dwudziestu siedmiu ziołach, która ma to do siebie, że trzeba ją pić haustem a nie smakować kroplami jak

koniak. Istotnie — nalewka przednia, dobra w smaku, o stężonym ziołowym zapachu. Powiedzieć, że mój gospodarz jest świetnym pisarzem i że znakomicie opowiada to powiedzieć rzecz powszechnie znaną. Wiadomo: jestem w mieszkaniu Melchiora Wańkowicza i prowadzę nie tyle rozmowę, ile raczej słucham tego, co mówi pisarz, który z niejednego pieca chleb jadł, był na wozie i pod wozem,

ma wielu przyjaciół i niemało wrogów (powiedz mi, jakich masz wrogów, a powiem ci, kim jesteś), który, jednym słowem, zna życie, świat i ludzi, podróżował po tym świecie pieszo, koczobrykiem, koleją, okrętem i samolotem, poznając gorzki smak emigracji i radosny niepokój powrotu do kraju.

Biblioteka i archiwum pisarza urządzone wzorowo. Listy i recenzje w odpowiednich teczkach, każda książka, ofiarowana pisarzowi z dedykacją, wpisana do kartoteki, wszystko zarejestrowane, odnotowane, posegregowane. Obecny i przyszły badacz twórczości Melchiora Wańkowicza znajdzie tu, co mu potrzeba, a nawet jeszcze więcej. Samych wywiadów z autorem „Na tropach Smełka” jest cała wielka góra. Nie ma chyba w Polsce piśma, które by nie przeprowadziło z nim rozmowy.

— Szczerze mówiąc, jestem już tymi wywiadami zmęczony — mówi gospodarz. — I wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedziałem.

Nie, nie napiszę jeszcze jednej rozmowy, choć przyszedłem tu z podobnym zamiarem i układałem sobie pytania, które postawię. Te trzy godziny, spędzone w lutowy wieczór na Puławskiej, pozwoliły mi wejść bliżej w warsztat pisarza, żyjącego z kalendarzem w ręce i dobrze gospodarującego czasem, którego nigdy nie za wiele. A jest to rzeczywiście warsztat imponujący: trzy maszyny do pisania, trzy magnetofony, dwa aparaty fotograficzne z pięcioma obiektywami, sekretarka (jej zawdzięcza pisarz stałe porządkowanie wycinków, listów i recenzji), zdyscyplinowany tryb życia. Oto rozkład dnia pisarza. Godzina 8—9 śniadanie, 9—12 pisanie, przyjmowanie telefonów, 13 obiad i drzemka poobiednia, 15.30 spacer, 17 przyjmowanie gości (zapowiedzianych), wieczorem partii szachów z sąsiadem i znowu praca do godziny 23. Dziennie pisarz otrzymuje od kilkunastu do kilkuset listów. O czym ludzie nie piszą! Ktoś dziękuje za wzruszenia odniesione z lektury książek („Ileż ja Panu zawdzięcza”), ktoś inny wywołuje z pamięci jakieś dawne spotkanie lub opowiada o wspólnych znajomych. Szesnaścieletni chłopiec wyznaje z rozbrajającą szczerością: „Jest Pan stary i talent swój zabierze Pan do grobu. Proszę, niech mnie Pan nauczy pisać, to ja o Panu w przyszłości napiszę całą książkę”.

Przychodzą oferty małżeńskie („Pański talent i moja uroda — cóż to mogą być za rezultaty!”), prośby o dedykacje na książkach przesłanych w paczce, prośby o pomoc i wstawienie do przy załatwianiu jakiejś sprawy.

— Nade wszystko cenię sobie listy z wymiślaniami. Mam ich całą pekałą teczkę. Czego tam w tych listach nie ma. Oskarżają mnie o zdradę, o to, że się wysługuję. Na emigracji piszą, że ulegam komunistom, w kraju, że wprost przeciwnie itd., itp.

Niektórzy śmiałkowicie nie poprzestają na listach. Nachodzą pisarza w domu. Są

wśród nich ludzie nie całkiem normalni. Oto zjawia się kobieta, która oświadcza, że jest żoną Ducha Świętego. Pewien mężczyzna podaje, że on jest Mickiewiczowskie czterdzieści cztery, a inny zapytuje z trwogą w oczach: — Pałamnie promienie, co robić?

Trzeba mieć dużo siły i hartu, a przede wszystkim cierpliwości, aby spokojnie znosić te najścia i perswadować ludziom przeróżne rzeczy. Popularność jest pisarzowi potrzebna, ale przecież nie popularność za wszelką cenę. Wańkowicz przypomina powiedzenie La Rochefoucault'a: „Kto chce podobać się wszystkim, ten nie podoba się nikomu”.

Oczywiście mówimy o pracy literackiej, o technice, o fabule, o pięknej sztuce pisania. Wańkowicz znowu przywołuje na pamięć czyjeś słowa, zdaje się, że Montaigne'a: „Trzeba dużej zręczności, aby ukryć zręczność w pracy”. Mnie kuszą, aby zacytować słowa Schopenhauera o mrocznym i jasnym sposobie pisania, ale rezygnuję z tego. Ważne nie to, co ja powiem, czy przypomnę, ważne, co powie lub wygrzebie z pamięci mój gospodarz — Melchior Wańkowicz. A więc: rzemiosło musi być niewidoczne, jeśli sposoby i chwytaki leżą, jak to się mówi, na wierzchu, są rozpoznawalne — źle to świadczy o autorze.

— Najbardziej podoba mi się to, co w „Roczniku Literackim” za rok 1969 powiedział Aleksander Malachowski: „Wańkowicz napisał jedną wielką książkę o sobie”. To jest prawda. Wszystkie moje książki są w jakiejś mierze autobiograficzne i wcale tego nie ukrywam. Reportażysta nie chowa się za fikcyjnego bohatera, jeśli taki fikcyjny bohater w ogóle istnieje. Reportażysta działa z otwartą przyłbicą, mówi o ludziach autentycznych i mówi o sobie.

Rok bieżący będzie dla Melchiora Wańkowicza rokiem urodzaju. Ukażą się nowe jego książki: „Wojna i pióro” (wojna w reporterskim ujęciu u nas i za granicą), „Przez cztery klimaty” (wybór publicystyki od pierwszych początków aż po dzień dzisiejszy), „Karafka La Fontaine'a” (wybór esejów, poświęconych literaturze i pisarstwu), a wreszcie „Zupa na gwoździu — doprawiona”, wydanie nowe, znacznie od poprzedniego bogatsze. Ale to jeszcze nie wszystko. Pojawia się również wznowienia: „Monte Cassino”, „Szczenięcie lata” i „Atlantyk — Pacyfik”. Dla miłośników twórczości Wańkowicza — prawdziwe żniwo.

Niedawno Melchior Wańkowicz obchodził swoje osiemdziesiąte urodziny. Otrzymał mnóstwo listów, depesz i telefonów. Pisali do niego ludzie z kraju i z zagranicy. Zyczyli mu zdrowia, nowych książek i radości życia. Żywotność pisarza każdemu spodziewać się po nim wielu jeszcze prac. Przyłączamy się do tych życzeń. Pisarz, który zdobył sobie taką popularność i takie uznanie, potrzebny jest społeczeństwu. Potrzebne są jego książki, jego wypowiedzi, jego słowa.

SAPETTO — SZAMBORSKI:*)

Obaj ukończyli w 1966 roku warszawską ASP, w pracowni prof. M. Byliny, obaj wyszli na arenę polskiej plastyki jako w pełni dojrzały malarze, świadomi swoich celów artystycznych i zdecydowani w wyborze środków, jakimi owe cele będą realizowali. Są młodzi — Sapetto z 1939, a Szamborski z 1941 roku. Wystawiają najczęściej wspólnie, a nazwiska ich wypowiedziane razem brzmią jak średnio-wieczne zawołanie bojowe, jak szyfr, a coraz częściej, dla wielu, jak swego rodzaju manifest, choć nigdy żaden z nich żadnym artystycznym manifestem pisany się nie splamili. To, co mają do powiedzenia — a jest tego nadspodziewanie wiele — mówią środkami plastycznymi. Są wyjątkowo rzetelni jako twórcy i... bez reszty zajęci teraźniejszością. Kiedy pojawili się pierwszymi wystawami, przypuszczano, iż będą się w przyszłości dublować i w pomysłach i realizacjach — zdawali się być tak do siebie podobni. Czas odkrył nie tylko ich diametralnie różne osobowości, ale również udowodnił całkowitą odrębność widzenia aktualności i ich interpretacji w malarskim tworzeniu. Twórczość ich mogłaby się nawzajem znosić, gdyby nie fakt, iż jak w nawias bierze ona najistotniejsze tendencje ideowo-artystyczne młodej fali nowej figuracji.

Istotną cechą wspólną poczynań twórczych Sapetty i Szamborskiego jest ich związek, przede wszystkim duchowy, z tradycją polskiego malarstwa literackiego, na przykład z Grottgerem, Malczewskim, Mehofferem, Wyspiańskim i stwarzanie pomostu między tymże malarstwem, a istotnymi ideowo-artystycznymi osiągnięciami awangardy. Swobodna gra wyobraźni, emocjonalny (nie mylić z impresyjnym) a nie spekulatywny stosunek do świata, psychiczna odporność na pokusy pesy-

mistycznych, katastroficznych koncepcji filozoficznych, odwrócenie się od proponowanych przez ekspresjonizm i „sztukę brutalną” efektów i środków, uczulenie na zdarzenia bierzące i umiejętność uogólniania wniosków, jakie z nich wypływają, a również sposób plastycznego obrazowania, czynią z Sapetty i Szamborskiego malarzy nie tylko współczesnych, ale zaangażowanych i pełnych treści humanistycznych. Żyjących w konkretnych warunkach społeczno-politycznych, w konkretnym kraju i budujących na tradycji

zagubiony ani bezradny. Wychwytuje momenty dla siebie interesujące, utrwała je z pozorną nonszalancją, raz zacieraając kontury przedmiotów, kiedy indziej rysując je w miarę wiernie. To znów sięga po czystą malarską materię, po plamę, chlapania nby nieskoordynowane i przypadkowe, niezamierzony płaszczyzny płótna, aby nagle wplątać w kompozycję żurnalowo potraktowaną sylwetkę ubranej w mini-skirt dziewczyny. Pomysł rodzi pomysł stwarzając stan ciągłego niedosytu i zmuszając do ustawicznej

przebieierać w kostiumach, gestach, dekoracjach. Może modulować ekspresję według własnego osądu. Jest zresztą niezwykle dbały o dzieło, które w jego pojęciu trwa poza nim samym, wystawia mu świadectwo jako człowiekowi i artyście. Dlatego też nie ucieka się do fikcji, nie stwarza sytuacji w tym stopniu dwuznacznych, iż mogłyby być odczytane w sposób diametralnie sprzeczny.

Szamborski wykazuje wyraźne skłonności dekoracyjne. Niejednokrotnie zdawać by się mogło, iż to właśnie estetyka obrazu była głównym powodem jego powstania. Ale to wrażenie jest błędne. Szamborski postępuje podobnie jak ów dżentelmen, który karząc niestałą kochankę oplatał pejcz różami. Nie zawsze tak bywa. Czasami napięcie dramatyczne zdarzenia rwie osłonę dobrych manier, estetyka obrazu

zostaje zakłócona jakimiś zabrudzeniami, niechlujnymi zygawkami linii, planą brnąną wyrwaną jakby z kontekstu innych, obcą. Ale tak się dzieje w niewielkim fragmencie kompozycji — harmonia całości nie zostaje zburzona doszczętnie. Szamborski nigdy nie pozwolił sobie na wrzask i bicie się pięściami po głowie — ekspresja jest dla goryli! A poza tym teatr to miejsce magizacji, w którym gest odgrywa rolę kreującą. Nieopatrzny gestem i słowem można wyzwolić przeciw nieopisanym kataklizmom. Należy mówić o wszystkim dosadnie, ale głosem spokojnym, bowiem wrzask deformuje słowa i zaciera ich sens.

Obiektywizm Szamborskiego nie dopuszcza na jego płótna erotyzmu, bowiem element ten jest mu w jego dramaturgii zbędny. Obiektywizm Szamborskiego wyklucza również wszelkie nastroje liryczne. Ale obiektywizm Szamborskiego wprowadza do jego obrazów nastrój powagi i hieratyczności. Z kolei u Sapetty znajdziemy ogromne pokłady lirycznego nastroju, poetyckości i erotyzmu.

Sapetto i Szamborski idą drogą, którą kiedyś kroczył samotnie Andrzej Wróblewski. Idą środkiem drogi, na poboczach której panuje już dzisiaj duży ścisk i tłok. Ale jej środek jest ciągle pusty. Oni dwaj, zafascynowani codziennością, podnoszą ją codziennie do rangi zdarzeń niezwykłych, niepowtarzalnych, wyjątkowych. Dokonują tego innymi środkami niż czyni to Wróblewski, bo żyją ileś tam lat później. Inna też jest owa teraźniejszość i różna od tamtej skala jej oceny. Ale sama zasada zaangażowania artysty pozostała ta sama. I powinna pozostać.

*) Na marginesie wystawy malarstwa Sapetty i Szamborskiego w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza.

ANDRZEJ GRUN

SPÓŁKA Z PEŁNĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

tegoż kraju. Przynajmniej, że jest to zjawisko nieczęste w obecnej sztuce polskiej w ogóle.

Poza wyżej wspomnianymi punktami stycznymi, różni są we wszystkim. Ich temperamento artystyczne, postawy życiowe, widzenie rzeczywistości w symbiozie tej, jaka od początku ich kariery ma miejsce, mogą egzystować jedynie na zasadzie tezy i antytezy.

Marek Sapetto jest artystą, u którego eksplozje intelektu i nawał pomysłów idą w parze z niezmordowaną zachłannością, z jaką obserwuje życie, z pośpiechem w postarzaniu, kojarzeniu i sumowaniu zjawisk, wrażeń i wniosków i z szybkością realizacji malarskich. Jest dzieckiem epoki, która zawalona jest nawalem informacji, jak do tej pory — chaotycznej i ciągle mało skoordynowanej w swej ogromnej różnorodności. Nie czuje się jednak

pogoni za malarską praktyką. Sapetto przestaje interesować się obrazem w momencie, w którym odwraca się doń plecami. Istnieje dla niego wtedy już tylko obraz następnym. Jeszcze nie namalowany.

Czy są to jednak tylko notatki, scenki rodzajowe, dowolne opisy? Otóż Sapetto posiada, obok obserwacji szybkiej i zachłannej, umiejętność obserwacji wnikliwej i głębokiej. Elementy kompozycji układają się w pewne ciągi myślowe. Użyte symbole, nawet te najbardziej wyświechtane, przekazują wiedzę o świecie, który może nie jest fajerwerklem radości ale też nie jest jałową ziemią samej tylko rozpaczy i zagłady. Chłopiec, żurnalowa dziewczyna, tarcza strzelnicza — zestawienia plakatowe i ograbne, ale przez swą prostotę, swą publicystyczną prostotę i malarską materię przemawiające i, o dziwo, w su-

POLONICA

POLONICA
JUGOSŁOWIAŃSKIE

W jednym z numerów belgradzkiego miesięcznika literackiego „DELO” ukazało się w przekładzie Petara Vujčića dwanaście wierszy Zbigniewa Herberta, kilka z nich było już publikowanych w antologii współczesnej poezji polskiej w tym samym przekładzie. P. Vujčić, który jest czołowym tłumaczem literatury polskiej w Serbii, przełożył „Rekonstrukcję poety” Herberta, nadaną w formie słuchowiska w III programie Radia Belgradzkiego z udziałem wybitnego aktora jugosłowiańskiego, Ljubo Tadića (31 stycznia br.).

W miesięczniku macedońskim „Stremez”, wychodzącym w Skopje, opublikowano opowiadanie Janusza Krasińskiego „Kordonek” (po macedońsku NIZANKA) w przekładzie Tanasa Nikolovskiego. W jego tłumaczeniu dziennik skopski „Nowa Makedonija” z dnia 28 grudnia ub. r. zamieściła w dodatku dla dzieci wiersz „Odiot bocianów” W. Broniewskiego. „Nowa Makedonija” dość często ogłasza wiersze poetów polskich, m. in. ostatnio ukazały się tuwimowskie „Dwa wiatry”. Evtim Manev, poeta i tłumacz macedoński, opublikował na łamach miesięcznika „Suverenost” (numer grudniowy) „List do Marce Chagala” J. Ficowskiego, opatrzone ten wiersz notą bio-bibliograficzną.

W dwumiesięczniku teatralnym „Pozoriste”, wychodzącym w Tuzli (Republika Bośnia i Hercegowina) — nr 5 — 6 za wrzesień — grudzień 1971 — ukazał się fragment referatu Any Zivković, belgradzkiej polonistki, pt. „Polski teatr i rewolucja”. Referat ten został wygłoszony w ramach sympozjum w Jajcach (25—27 czerwiec 1971), zorganizowanego ku uczczeniu trzydziestoletniej rocznicy rozpoczęcia walki narodowowyzwoleńczej i socjalistycznej rewolucji w Jugosławii pod hasłem „Teatr i rewolucja”. Numer ten przynosi materiały z tego sympozjum.

POLONICA

Panna Stefania Rudecka zrobiła karierę, o jakiej się nie śniło nawet pani Helenie Mniszek. Już najętsze współczesne pióra próbowały zbadać tajemnicę tej kariery, posługując się odzyskami socjologiczno-obyczajowymi. Badania nie wypadły przekonująco. Literatura trzeciej kategorii była przecież reprezentowana przed wojną przez więcej nazwisk — Ireneę Zarzycką czy Pawła Staśko na przykład, nie mówiąc już o wyższej klasy pisarstwie Marii Rodziewicz, nad

konwencji parodii, bowiem jest to jedyna możliwa dziś do przyjęcia forma. Inaczej nie można, bo wydobywa się miakłość tekstu, pretensjonalność stylu, naiwność fabuły. Parodia zaś daje publiczności dobrą zabawę. W Łodzi, reżyser Ryszard Sobolewski chciał przełamać tę zasadę. Właściwie nie jestem do końca przekonana czy rzeczywiście chciał, czy też tak bardzo zawierzył śmieszności fabuły, że zdecydował się pokazać ją na serio wierząc, że będzie to i tak parodia. Ze

zrobił to przedstawienie „na serio” orzekli recenzenci, którzy oglądali je na premierze. W tej konwencji każdy widz może przyjąć je tak jak chce: albo się pośmiać, albo popłakać. Nie byłam na premierze, oglądałam jedno z późniejszych przedstawień. A często się zdarza, że po premierze sztuka zaczyna żyć własnym życiem, niezależnym od intencji reżysera, czasem nawet od wykonawców. Wydaje mi się, że tak właśnie dzieje się z „Tredowatą”. Oto aktorzy, być może nawet nie-

świadomie, czując śmieszność tekstu, zaczynają parodiować go. Po premierowym przedstawieniu przeczytałam, że Grażyna Marzec (tytułowa bohaterka) z wdziękiem wybrnęła z trudnej roli grania na serio tej roli. Moim zdaniem Grażyna Marzec zaczyna parodiować. Konsekwentnie, przez cały czas nie mówi, lecz deklamuje swój tekst z dużą dozą afektacji, z afektacją również porusza się i gestykuluje. Podobnie Alicja Krawczykówna (hrabianka Rita) wyraźnie już grawituje w kierunku parodii tak samo jak Barbara Marszałek (Lucia). W stylu „serio” trzymają się jeszcze panowie Bogumił Antczak (Waldemar), Feliks Zukowski (Maciej Michorowski) i Bohdan Wróblewski (hrabia Trestka); są naturalni, sympatyczni, prezentując bliski im gatunek aktorstwa współczesnego. Cóż z tego, kiedy tekst, który podają zupełnie nie nadaje się do tego typu interpretacji i w końcu nie wiadomo, śmiać się czy płakać. Podejrzewam, że wkrótce załamią się i panowie, dołączając do pań i wtedy będzie się na „Tredowatej” można pośmiać.

Muszę przyznać, że szłam na to przedstawienie, żeby się pośmiać, ale mi się to nie zdarzyło. Może dlatego, że nie wiem również, jak reszta widowni i znaczna chyba część aktorów, jak właściwie zachowywała się, poruszała i mówiła owa arystokracja, o której Helena Mniszek pisze tak brzydtko, ale i nie bez sentymentu. Ale coś mi się widzi, że hrabiów i hrabini to na scenie „7.15” nie było dużo. I to jest jeszcze jeden argument za tym, że jeśli już trzeba wystawić „Tredowatą”, to jako parodię.

A jak reaguje publiczność, wypełniająca salę teatralną po brzezi? Właściwie „rozgrzewać” się zaczyna dopiero pod koniec drugiego aktu, gdy na scenę wkracza tragedia. A po zapadnięciu kurtyny słychać tu i ówdzie dyskretny wycieranie nosów. Oczywiście, trudno porównać filmowy efekt dramatycznej sytuacji, gdy Stefcia—Barszczewska biegnie i biegnie przez jesienne wrzosowiska z obłędem w oczach, na wrzosach strzępiąc swój wspaniały welon ślubny, z efektem scenicznym, gdy Stefcia—Marzec nie ma nawet możliwości rozwinięcia ślubnego welonu w całej okazałości, ale w końcu mało kto film pamięta, więc scena jest i tak wzruszająca.

Mam nadzieję, że swoim niepoważnym stosunkiem do problemu nie obniży frekwencji w teatrze. Losy panny Stefani zawsze znajdują wdzięczną widownię. Boć ona tak ślicznie preluduje, jest płomieniem zamkniętym w kielichu kwiatu i wzorem cnót wszelakich tak promieniujących, że nawet lamparta w Waldemarze — zdobywcy kobiet usnąć potrafiły. Polska love story jest jednak modelem z roku 1909. Może to i optymistyczne?

*) „TREDOWATA” według powieści Heleny Mniszkówny. Adaptacja JANINA OLCZAKÓWNA-RONIKIER. Reżyseria: RYSZARD SOBOLEWSKI, Scenografia: EWA SOBOŁTOWA. Muzyka: PIOTR HERTEL. Teatr „7.15”.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Panna Stefania ślicznie preluduje...

której bohaterami tysiące czytelników wylewały łyżki rzewne. Nic z tego do dziś nie przetrwało (czym się notabene martwić nie należy). „Tredowata” zaś, niedawno jeszcze przepisywana na maszynie trafiła na czarny rynek w cenie 500 zł za egzemplarz, a jej lektura miała posmak zakazanego owocu. I to wcale nie ze względów moralno-obyczajowych. Wszakże jest to powieść wysoce umoralniająca, ba nawet postępową. Bo przecież ordynat Michorowski nowoczesną gospodarkę wprowadza, mechanizację popularyzuje, samowładzki krajowej produkcji stosuje i chwali, wierzy w przyszłość polskiego jedwabiu, na dodatek człowieka prostego uszanować potrafi. Dziewczynę ze zwyczajnego szlacheckiego stanu kocha miłością czystą i ordynatową z niej uczynić postanawia. Wbrew woli i poglądom wstretnej, gnijącej arystokracji, której słowa i czyny mierzą, budzą odrazę.

A więc może tęsknota za bohaterem pozytywnym? Ale przecież jest on i jego problemy dziś całkiem już śmieszne. Sądze, że pamięć „Tredowatej” przetrwała dzięki filmom, które przed wojną namiętnie kręcono. Stefcia znalazła kilka wcieleń od Jadwigi Smosarskiej po Elżbietę Barszczewską, której dane było kochać Waldemara — Franciszka Brodniewicza, z równie znakomitą resztą obsady. To były filmy oczywiście na serio. Ale w historii kinematografii nadzwyczaj często zdarza się, że z dobrej książki powstaje zły film, a ze złej — dobry. Nie przypominam sobie wielu takich sytuacji przy adaptacjach powieści na sztuki teatralne.

A przecież teatry, zachęcone prześlizgniętą parodią telewizyjną „Tredowatej”, zabrały się do wystawiania przesmutnych dzieł Stefci Rudeckiej. Najpierw Kallisz, potem Gdańsk. Oczywiście w



Grażyna Marzec (Stefcia) i Bogumił Antczak (Waldemar).
Fot. G. Wyszomirska

Przeszłość i terażniejszość

Po raz nie wiem już który okazuje się, że tradycyjna historia, zadawająca się jedynie opisem wydarzeń w kolejności ich następowania, jest całkowicie bezsilna, kiedy staje przed skomplikowanymi konfliktami społeczno-politycznymi przeszłości. Niedawno przekonana nas o tym — wbrew intencjom autora — lektura książki Juliana Komara o warszawskich manifestacjach patriotycznych przed powstaniem styczniowym, która okazała się sumiennym katalogiem różnego znaczenia faktów historycznych, ułożonym wedle zasady chronologicznej i niczym więcej. Podobnie ma się rzecz z rozprawą Franciszki Ramotowskiej, opatrzoną długim tytułem: „Rząd carski wobec manifestacji patriotycznych w Królestwie Polskim w latach 1860—1862”, opublikowaną przez Ossolineum jako kolejną publikację Instytutu Historii PAN. Autorka podjęła problematykę znacznie szerszą od tej, którą rozpatrywał J. Komara. Nie chodziło jej tylko o przedsta-

wienie przebiegu manifestacji, które ogarnęły całe Królestwo Polskie i świadczyły o polskich narodowych aspiracjach, objęły szerokie kręgi społeczne, o czym świadczą skład manifestantów. Ambicją autorki było zbadać drugą stronę problemu, mianowicie polityki caratu wobec polskiego ruchu narodowego, jego reakcji na dokonujące się w społeczeństwie polskim przemiany, polityki, która miała za zadanie stłumienie bądź rozładowanie napięcia, a która doprowadziła do ich nateżenia, jak się to miało niebawem okazać. F. Ramotowska obrala dla prezentacji badawczego problemu metodę najbardziej tradycyjną ze wszystkich. Po prostu — tak jak to czyni uciążliwie jeszcze większość historyków — ułożyła nagromadzony przez siebie skrupulatnie wydobyty z archiwów i bibliotek materiał informacyjny w kolejności jego narastania, to jest w porządku chronologicznym. Przyjęta przez badaczkę tradycyjna zasada porządkująca w poważnym stopniu

utrudniła jej zanalizowanie badanych zjawisk, liczne wątki procesu dziejowego zostały prezentowane w miarę, jak występowały w materiale źródłowym, nie zawieszając — o ile nie wiązała ich chronologia — ze sobą powiązane. Jest niezmiernie charakterystyczne, że kiedy autorce przyszło zreasumować wyniki swoich badań,

ce, ale w... streszczeniu francuskim, które stanowi na pewno jedną z najlepszych części rozprawy, mimo że jest napisane dosyć szkolnym językiem. Czy jednak czytelnicy książki F. Ramotowskiej muszą koniecznie znać język francuski po to, aby dowiedzieć się, do jakich ostatecznych wniosków doszła ona w wyniku swo-

O sposobie pisania historii

porzuciła ona przyjętą przez siebie ogólną zasadę porządkowania materiału i pokusiła się o ujęcie problemowe. Nie znalazło się ono jednak w konkluzjach książki, która nie posiada żadnego zakończenia i urywa się na opisie zdarzeń, które nastąpiły wiosną 1862 roku, zresztą bynajmniej nie przytłaczająco. Wnioski ogólne znalazły się ni mniej ni wię-

ich wieloletnich badań?

Manifestacje patriotyczne, stanowiące wyraz narodowych aspiracji Polaków, jakie rozwijały się w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch powstania styczniowego były zjawiskiem paralelnym do ruchów wyzwolniczych, jakie wstrząsały wówczas licznymi krajami Europy, wiązały się też ściśle z narastaniem sytuacji

rewolucyjnej w Rosji. Stanowiły one poważne niebezpieczeństwo dla caratu, zarówno w sferze polityki zagranicznej, jak i wewnętrznej imperium, nie więc dziwnego, że na wszelkie sposoby starał się on o ich uspokojenie. Autorka wykazuje, że polityka caratu była warunkowana szeregiem czynników natury zagranicznej i wewnętrznej, które warunkowały jej dwoistość, wyrażającą się w podejmowaniu raz prób ugody z polskimi klasami panującymi, kiedy indziej próbowania pacyfikacji nastrojów przy pomocy siły, w oparciu o rozbudowany aparat ucisku. Żadna z tych linii politycznych nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

Wielką wymową posiadają opublikowane w książce F. Ramotowskiej reprodukcje plakatów i zaproszeń na organizowane w 1861 roku nabożeństwa „za pomyślność Ojczyzny”. Obok tych, które sygnowały „Urzędnicy wszystkich Władz Królestwa w Warszawie” czy „właściciele domów przy ulicy Rynek Starego Miasta” znalazły się tutaj inne, świadczące o zaangażowaniu kręgów

proletariacko - rzemieślniczych, jak mianowicie plakaty i zaproszenia od „robotników z fabryki wyrobów chemicznych na Solcu”, „pracowników przy moście stałym i tytuowym”, „Zgromadzenia służących plei żeńskiej w Warszawie”, „młodzieży polskiej wyznania mojżeszowego”, czy wrzesień tekst o jakże charakterystycznym brzmieniu: „Chłopcy Polskie Roznoszące Plakaty zapraszają Braci Rodaków na Nabożeństwo za pomyślność Ojczyzny odbyć się mające d. 6 Październik, tj. w Niedzielę, o go. 9 zrana do Kościoła XX Karmelitów na Leśnie 1861 r.”.

Szkoda, że ta jakże interesująca, mimo wszystkich zastrzeżeń praca, ujeta została w sposób aż tak tradycyjny. Historyk, który podejmuje zagadnienia w rodzaju tych, które były przedmiotem badań F. Ramotowskiej czy J. Komara, nie może już dziś przejść obojętnie obok zdobyczy nowoczesnych nauk społecznych; musi być w jakimś sensie socjologiem przeszłości.

JOZEF GRZELAK

„Konfrontacje 71” — impreza, która w tym roku pobila wszystkie dotychczasowe rekordy popularności, ściągając przez czternaście dni tych którzy za niemałe pieniądze stali się posiadaczami karnetów i tych, którzy godzinami wyczekiwali przed kasami kina, by obejrzeć „Diabły” czy „Dekameron”. Setki tych, dla których „Konfrontacje” były wydarzeniem kulturalnym i drugie tyle tych, dla których były okazją posmakowania owoców zakazanych bądź tylko trudno dostępnych. Autentyczna ciekawość i spotkanie ze sztuką, a obok tego atmosfera jeśli nie niezdrów, to przynajmniej intrygującej sensacji. Tak jest i w końcu nie ma chyba powodu dziwić się, czy wybrzydząć na trochę historyczny wymiar tegorocznej imprezy. Sztuce nie raz w jej dziejach towarzyszyła atmosfera igrzysk, dana jest ona również kinu. Przy okazji chciałabym zgłosić wątpliwości wobec opinii znakomitego krytyka p. Zygmunta Kalużyńskiego, traktującego „Konfrontacje” jako imprezę zdegenerowaną, nie mającą uzasadnień kulturalnych, przynoszącą straty moralne, ale za to zyski finansowe. Być może człek bywały na światowych festiwalach, zasiadający często przed ekranem, na którym proponuje się liczne filmy do zakupów, może sobie na takie twierdzenie pozwolić. Dla nas, prostactów, obejrzenie tych filmów, o których w świecie właśnie się mówi, w jednym ciągu projekcyjnym, ze znacznym często wyprzedzeniem wobec powszechnej dystrybucji, ma swój sens kulturalny, socjologiczny, ba, nawet psychologiczny. Jest coś istotnego w tym akcie koncentracji uwagi na jednym zjawisku sztuki współczesnej, na owym codziennym mówieniu o kinie, jeśli nawet traktować go mniej poważnie niż inne sztuki. Tych, dla których największym szlagierem tegorocznej imprezy były „Diabły” zostawmy w spokoju, myślimy o tych, których zachwyciły „Dni święconej wody” czy „Joe Hill”. Jeśli zaś „Konfrontacje” w następnych latach dorównają poziomem artystycznym tegorocznym, bądźmy spokojni o sens tej filmowej imprezy.

Nie jest w tym roku łatwo wyłowić z tej światowej reprezentacji filmowej jakieś nurty czy tendencje charakterystyczne, bądź wspólne. Mieliśmy do czynienia z propozycjami bardzo różnymi, dającymi świadectwo raczej indywidualnym zainteresowaniom twórców, aniżeli ja-

kimś tendencjom wspólnym. Odnieść to można zarówno do sfery tematów, jak i poszukiwań artystycznych. Wszystkich nas uderzyły muśnięciem fakt jeden — ci, których znamy najbardziej, a których twórczość jest kinem samym, w swoich ostatnich dziełach sięgnęli do literatury klasycznej: Fellini adaptuje Petroniusza, Pasolini — Boccaccia, Visconti — Manna. To, co dla niektórych jest chorobą i słabością kina, stało się udziałem tych, którzy współczesne jego oblicze kształtują. Spójrzmy jednak choć przez chwilę na to, czym literatura w rękach mistrzów stać się może. Może tylko w przypadku „Śmierci w Wenecji”

przejść musi. To prawda, tym razem Fellini zachwycać jednak może przede wszystkim jeśli nie głównie, niezwykłą nawet dla niego wymyślnością widowiska kinowego. „Satyricon” jest przywołaniem na ekran fantastycznego świata sennego kosmaru, wydobytego z niezwykłej wyobraźni artysty, udowadniającego jeszcze raz, że rzeczywistość filmowa może być rzeczywistością wizyjną, że nie ma granic dla wyobraźni twórcy filmowego. Wielki spektakl, fascynujący szaleństwem artystycznej wyobraźni i chyba nieco pusty w środku. A literatura? — była tu tylko pretekstem.

kiem Boccaccia nie będzie. Tyle o klasykach literatury i kina w tegorocznych „Konfrontacjach”, choć nie można nie odnotować jeszcze „Wujaszka Wani” w reżyserii Konczalowskiego, który to film cenimy za celność czechowskiej atmosfery i walory aktorstwa, trudno jednak czuć się przekonany sztuczkami plastyki filmowej, niekonsekwentnej, drażniącej i wbrew zamierzeniom reżysera — nie budującej klimatu tej adaptacji.

W latach poprzednich nurt filmowy ważkich problemów naszej współczesności był chyba silniejszy (przypomnijmy choćby „Chłodnym okiem”, czy „Rekonstrukcję”), aniżeli w propozycjach tego roku. A jednak wśród nich odnaleźć mogłyśmy utwory wybitne, choć tak różnie, jak „Dni święconej wody” Gomeza, „Joe Hill” Wideberga, czy „Odłot” Formana. W przypadku dwu pierwszych filmów mamy tu przesadę do czynienia z powrotem w przeszłość, ich wymowa społeczna i polityczna ma jednak swe współczesne odniesienia. Dramatyczna opowieść o samozwańczej cudotwórczyni, jest w istocie filmem o wykorzystaniu siły, która rodzi się w zbiorowości ludzkiej. Jest filmem o ludzkiej krzywdzie, o marzeniach, o drogach dochodzenia do świadomości społecznej i politycznej. Jest filmem cudownym w swej inspiracji egzotycznym dla nas folklorem i ikonografia, niepokorną wyobraźnią obrazów filmowych, w których piękno, kicz, tradycje kultury europejskiej i religijnej miesza się z bogatym folklorem narodu kubańskiego, jest filmem znakomitym w swej sztuce operatorskiej i fascynującym w wykorzystaniu koloru. Gdy już o kolorze mowa, przypomnijmy sobie jeszcze raz urodę kadrow film „Joe Hill”, takiej satysfakcji naszym oczom, przy całej inwazji

barwy na ekranie świata, rzadko kino nam dostarcza. „Joe Hill” Wideberga był w „Konfrontacjach” jednym z najmowniejszych przykładów harmonii i konsekwencji twórczej filmem, do którego się powraca, do jego sensów mądrych i gorzkich, a ukrytych w spokojnej, smutnej opowieści o amerykańskim robotniku, którego na początkach naszego wieku stracono po zainscenizowanym procesie.

Z ogromną ciekawością czekaliśmy na pierwszy „amerykański” film Formana. „Odłot” potwierdził, iż to co stanowiło siłę „Miłości blondynki” pozostaje nadal główną wartością jego twórczości. Przenikliwość wizerunku w rzeczywistość, odnajdywanie w ludziach i sytuacjach oczywistości, których na co dzień nie dostrzegamy, odkrywanie śmieszności i czynienie z niej głównej siły argumentacji walczącej — to był Forman czeski. Atuty te znajdujemy w „Odlocie”, komedii, jak to zwykle u Formana, tyle samo prześmiesznej, co refleksyjnej, choć przyznać trzeba, że w jego wcześniejszej twórczości refleksja ta była głębsza.

Film psychologiczny, tak zawsze ceniony przez publiczność, reprezentowały w tegorocznym zestawie filmy, które postawić można na dwu biegunach tego gatunku. Blyskotliwy, elegancki, bardzo literacki film Rohmera „Kolano Klary”, a obok tego kameralny, pozornie nieefekowny, piękny węgierski film „Miłość” Makka.

A największy szlagier kasowy „Konfrontacji” — czyli angielskie „Diabły” Russella? Żyjemy nadzieje, iż nie będzie mi to poczytane za unik, jeśli wyznam, że brak odporności psychicznej nie pozwala mi na zajęcie w pełni obiektywnego stanowiska przy próbie oceny tego dzieła wyobraźni nie tyle bogatej, co w mym przekonaniu — chorej. Film jest zmienny dla pewnych tendencji współczesnego kina, preferującego szok i mocne uderzenie. Historyczność tego widowiska, wyciągającego z zakamarków ludzkiej duszy rzeczy najbrzydlawsze, raczącego nas obrazami sadyzmu i perwersji, doprowadzona do perfekcji spływająca krwią groźna kiczowatość tego filmu posiada nieoczekiwane czyste i szlachetne wnioski moralne. I głównie dlatego uważam ten film za zjawisko w sztuce tak popularnej jak kino, niebezpieczne.

EWA NURCZYŃSKA

„KONFRONTACJE 71”

zadumamy się nad tym, czy manowska refleksja o związkach sztuki i życia, estetyzmu i dekadentyzmu, poszukiwaniach ideału piękna i o pułapkach zmysłowości nie została przez Viscontiego nieco strywializowana, sprawdzona do osobistego dramatu artysty, uwikłanego w swe homoseksualne rozterki. Sądzę, że wielu z nas znalazło jednak rekompensatę tych wątpliwości w cudownym pięknie obrazów i nastrojów tego filmu. Nostalgiczna uroda i klimat „Śmierci w Wenecji”, cały gorzki i świadomy dekadentyzm tego filmu, jego wyrafowanie idące w parze ze znaczną dozą trywialności — to świat Luchina Viscontiego, artysty, którego można niecierpieć, albo uwielbiać.

Dekadencja świata czy pewnych jego cywilizacji (starożytności znaczy tu chyba również — współczesność) powraca jako temat u Felliniego. Nie temat jednak wyznacza rangę „Satyriconu”, choć film ten nazwano już „Słodkim życiem Rzymu”. Fellini — moralista, powraca tu do swego wołania o konieczność odrodzenia wartości etycznych, o potrzebę katharsis, którą jego bohater, pożyczony od Petroniusza,

Inaczej chyba rzeczy się mają w przypadku „Dekameronu”, choć i tu dla wielu dzieło Boccaccia może być czymś znacznie bardziej frapującym, zwłaszcza w sferze frywolnej, zwłaszcza w wyobraźni. W tym osobistym odczuciu Pasolini zafundował kinu spektakl znakomity, mimo że tak skromnie, autokrytycznie, choć kokieterijnie zapytał w finale swego filmu o sens „ureczywistnienia dzieła, jeśli marzenia bywają tak piękne” (przepraszam za brak dosłowności cytatu). To urczywistnienie dzieła, którego smak tkwi m. in. w braku granic wyobraźni, tak ryzykowne w sztuce jej konkretyzacji, jest u Pasoliniego mistrzowskie. Nie przekroczył granic tego, co banalnie określamy dobrym smakiem, z aktywności seksualnej, z radości życia w niej się manifestującej, uczynił widowisko filmowe strasne, bawiące, cieszące — to sztuka nielada. Znalazł w Renesansie ten jego nurt, który odkrył już w kinie Zeffirelli, a dodać do niego całą sprośność ludowej opowieści, rzucił piękno renesansowych szat i odnalazł brzydotę, która jest też życiem i pięknem, to także duża sztuka. Pasolini dłużni-

li w propozycjach tego roku. A jednak wśród nich odnaleźć mogłyśmy utwory wybitne, choć tak różnie, jak „Dni święconej wody” Gomeza, „Joe Hill” Wideberga, czy „Odłot” Formana. W przypadku dwu pierwszych filmów mamy tu przesadę do czynienia z powrotem w przeszłość, ich wymowa społeczna i polityczna ma jednak swe współczesne odniesienia. Dramatyczna opowieść o samozwańczej cudotwórczyni, jest w istocie filmem o wykorzystaniu siły, która rodzi się w zbiorowości ludzkiej. Jest filmem o ludzkiej krzywdzie, o marzeniach, o drogach dochodzenia do świadomości społecznej i politycznej. Jest filmem cudownym w swej inspiracji egzotycznym dla nas folklorem i ikonografia, niepokorną wyobraźnią obrazów filmowych, w których piękno, kicz, tradycje kultury europejskiej i religijnej miesza się z bogatym folklorem narodu kubańskiego, jest filmem znakomitym w swej sztuce operatorskiej i fascynującym w wykorzystaniu koloru. Gdy już o kolorze mowa, przypomnijmy sobie jeszcze raz urodę kadrow film „Joe Hill”, takiej satysfakcji naszym oczom, przy całej inwazji



POJĘCIE WSTYDLIWE: SEKS

O seksie mówi się coraz więcej. Pojęcie to równoznaczne z polskim słowem „pieć” musiało przyobiec się w obcojęzycznym brzmieniu, by zdobyć sobie prawo obywatelstwa w naszej codziennej mowie. Dawniej o sprawach płci nie mówiło się w ogóle, lub co najwyżej szepotał. Ale w tej chwili o sprawach seksualnych chowaniem głowy w piasek. Rozwój współczesnego społeczeństwa, jawne wpływy na młodzież filmów poruszających coraz bardziej otwarcie sprawy płci i miłości cielesnej, wcześniejsze niż dawniej dojrzywanie świadomości płciowej u dzieci i młodzieży — to są wszystkie problemy, które muszą znaleźć się na porządku dziennym pedagogiki społecznej, stać się te-

matem do przemyśleń i do działania dla rodziców i wychowawców.

Dlatego dobrze, że Telewizja sięga do tej tematyki. Ostatnio (15. III. 1972 r.) nadano w programie II dyskusję zrealizowaną przez Karola Lubela pod wieloobliczającym tytułem: „Bez pruderii — rzecz o wychowaniu seksualnym”. Pisząc „wiele obiecujący tytuł”, nie mam oczywiście na myśli jakichś sensacyjek, czy pikanterii. Pomyślmy sobie po prostu: wreszcie! Wreszcie! Zaczynamy publicznie, bez fałszywej wstydlivosti i zakłamania mówić o tych sprawach.

Program pozostawił jednak mnie w uczuciach niedosytu i przeświadczeniu, że przejście od długiego milczenia do szczerzej rozmowy wcale nie jest łatwe. Sami pedagogowie pełni są wątpliwościami i nie bardzo wiedzą, jak się zabrać do rzeczy. Autorzy programu poczęstowali nas na wstępie filmową relacją z lekcji uświadomienia seksualnego. Na odległość czuło się jednak, że rzecz jest zainscenizowana.

Prowadzący lekcję nawoływał do swobodnej dyskusji i usiłował narzucić ciepłą atmosferę, sprzyjającą szczerości i zaufaniu. Po tych wstępnych zabiegach przeszedł do najważniejszej strony zagadnienia: do chorób wenerycznych, a potem domagał się pytań. Na pierwsze pytanie wywołujące się docierać do sedna sprawy, a mianowicie, w jakim wieku można rozpocząć życie płciowe, nie usłyszeliśmy odpowiedzi. Głos został wymiksowany.

Ta rzekomo pokazowa lekcja miała posłużyć jako materiał wyjściowy do dyskusji dla naukowców, pedagogów, praktyków i lekarzy. Dyskusja odbyła się, ale na każdym kroku czuło się, jak bardzo jesteśmy do niej nieprzygotowa-

wani. Uczestnicy chętnie operowali ogólnikami i uciekali się do przykładów zaczerpniętych z... krajów skandynawskich. Ciekawszym materiałem obserwacyjnym dysponowała tylko lekarka — kierowniczka przychodni przeciwwenerycznych w Klecach.

Dyskusjanci nie byli zgodni co do generalnych zasad, na jakich winno się uświadamiać seksualnie młodzież. Stała powtarzającym się zgodnym refranem była tytułowa stwierdzenie, że problem jest bardzo trudny, a sytuacja zła. To plan dyskusji raczej skromny. Z takim przygotowaniem niewiele zwojujemy.

Sporo pretensji mam też do autorów programu. Czy zamiast zainscenizowanej lekcji, pretendującej do miana wzorowej, nie należało pokusić się o ukazanie kawałka autentycznego życia? W jaki sposób? Nie wiem. Ale reportaż telewizyjny przekonał nas już nieraz, że do przejawów tego życia umieją docierać. Niejedna matka i niejedien wychowawca potrafiłby powiedzieć dużo ciekawych rzeczy na temat uświadamienia płciowego młodzieży.

No, ale pierwsze koty za płuzy! Jeden nieudany program nie powinien nikogo zniechęcać. Grunt, że bariera milczenia została przełamana! Temat wymaga dążenia. Obyczajowość społeczna, uwzględniając materiał dostarczany przez życie, musi iść z tym, że zjawisko przedmiotowe jest samo w sobie czymś zrodzonym.

Odrzućmy pruderię i moralność z epoki wiktoriańskiej musimy krzewić wśród młodzieży kulturę seksualną i niezbędną wiedzę w tej materii.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Co piszą inni

Miejska Biblioteka Publiczna informuje

Na VI Zjeździe KC PZPR ostatecznie zaakceptowano program rozwoju i modernizacji Łodzi w latach 1971—1975, który znalazł z kolei odbicie w broszurze wydanej przez KL PZPR i Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi „Kierunki rozwoju i modernizacji Łodzi w okresie 1971—1975 oraz założenia na dalsze lata”. Wiele pisano na ten temat w łódzkiej prasie lokalnej, szerokie reper-

kusje uchwał Zjazdu odnotowujemy także w prasie ogólnopolskiej.

Optymistyczną wizję nowego oblicza Łodzi kreśli i sekretarz KL PZPR BOLESŁAW KOPER-SKI w artykule „DZIS I JUTRO ŁODZI” zamieszczonym w czasopiśmie „NOWE CZASY” (nr 5 s. 21). W najbliższych latach zmieni się radykalnie sytuacja mieszkaniowa w mieście, wybuduje się nowe szkoły,

bibliotek, żłobki i przychodnie zdrowia, nastąpi kompleksowa modernizacja przemysłu, zostanie także rozwiązany wreszcie problem zaopatrzenia Łodzi w wodę, poprzez wcześniejsze oddanie do użytku rurociągu Pileca — Łódź. Wszystkie te zamierzenia zostaną zrealizowane dzięki przyznaniu przez kierownictwo Partii i Rządu poza wszechstronnym wsparciem także odpowiednich środków finansowych.

Podkreślając zainteresowania Łodzią prasy centralnej z przyjemnością odnotowujemy obszerny artykuł WALDEMARA SOBIECKIEGO „MANHATTAN DLA ŁODZI” zamieszczony w „PRZYJAŹNI” (nr 5 s. 3). Po wstępnych uwagach o planowaniu urbanistycznym i lokalizacji oraz powstaniu ośrodka przemysłowego Łodzi w XIX w. omawia okres powojenny, określając go jako lata „zastoju”, a potem szerzej rozwija aktualne perspektywy przebudowy miasta nowoczesnych wieżowców, szerokich ulic, wiatłoków i przejeżdżających podziemi. U-

zupnieniem artykułu są ciekawe wypowiedzi łodzian na pytanie: „Jaką chcielibyście widzieć nową Łódź?”.

Interesującym uzupełnieniem tematu jest artykuł KRYSZYNY MAJDY „NOWA RODZI SIĘ ŁÓDŹ” zamieszczony w „NASZYM ŻYCIU” (nr 1 s. 6), dotyczący problemu przemieszczenia przedsiębiorstw przemysłowych Łodzi z centrum i ze śródmieścia do nowych dzielnic miasta. Planuje się m. in. zlokalizowanie w rozbudowującej się dzielnicy Teofilów, liczącej już ponad 50 tys. mieszkańców, nowoczesnego kombinatu dziewiarskiego, który zostanie oddany do eksploatacji już w roku 1974. Drugim obiektem będą Zakłady Dywanów im. T. Ajzena. Autorka kończy artykuł optymistycznym stwierdzeniem „ambitnym zamierzeniem władz państwowych, partyjnych i związkowych jest stworzenie w Łodzi w bieżącej 5-latec nowoczesnej metropolii przemysłu lekkiego...”.

Przemysł lekki dysponuje w tym 5-leciu sumą dwukrotnie

wyższą niż w roku ubiegłym oraz wyższą niż kłedykowiłek w ciągu lat poprzednich, a jednak wiadomo, że przemysłowi temu daleko do kwitnącego statusu; jego maszyny i urządzenia zużyte są w 50—60 proc. Problem ten omawia w oparciu o przykłady Łodzi i Łowicza DANUTA ZAGRODZKA w artykule „ŁÓDŹ I DZIKIE POLA” w „ŻYCIU WARSZAWY” (nr 19 s. 4). Autorka udowadnia, że wprowadzić nie każda inwestycja daje od razu duży przyrost produkcji, każda natomiast winna przynieść od początków jej działania konkretne unowocześnienie metod i form pracy.

Początek przemysłowej kariery łódzkiego Teofilowa przed 11 laty daty zakłady „Eita”, one też posłużyły za model do dziennikarskiego portretu BOGDANA W. MIKOŁAJCZYKA w „TRYBUNIE LUDU” (nr 22 s. 3) w artykule „ZADANIA DLA ELTY”. Tematem publikacji jest problem nowych planów ekonomicznych zakładu, opartych na uruchomieniu wszelkich rezerw. Aby osiągnąć

zamierzone rezultaty tworzy się warunki rzeczywistego współgospodarowania zakładem całej załogi.

Inne oblicze miasta ukazuje PLK. MARIAN NOWIŃSKI w „ZOLNIERZU WOLNOŚCI” (nr 15 s. 4) w artykule „NOWE OBLCIE MIASTA”. Rozważania dotyczą kontynuatorów chlubnych tradycji walk rewolucyjnych i wywoleńców oraz ofiarnej i dobrej roboty w okresie powojennym ludzi, którzy rekrutują się z załogi Przedsiębiorstwa Czesankowej im. Gwardii Ludowej. Współpracują oni z Łódzkim Pułkiem Obrony Terytorialnej im. Tadeusza Głębskiego, inicjują wiele pozytywnych prac na rzecz społeczeństwa dzielnicy Polesie. Tradycje te żywe są także w zakładzie pracy i wpływają mobilizując na załogę, zachęcając ją do rozwijania najbardziej nowatorskich metod pracy, zapewniając zakładom stały postęp techniczny.

Opracował zespół pod red. R. KACZMARKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

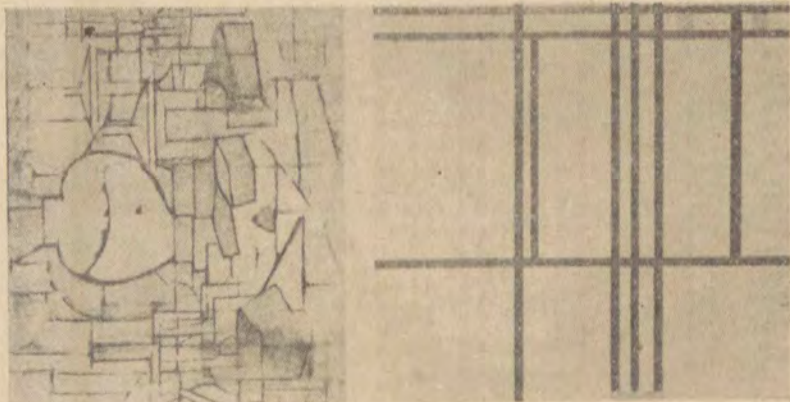
W STULECIE URODZIN HOLENDERSKIEGO MALARZA

Wielka retrospektywna wystawa dzieł Mondriana, która dla uczczenia stulecia jego urodzin, odbyła się niedawno w Guggenheim-Museum w Nowym Jorku została obecnie

filozofowanym malarstwem Mondriana.

Piet Mondrian, mający wuja artystę malarza, styka się weznie z twórczością plastyczną. Otrzymuje następnie bardzo staranne, akademickie wykształcenie artystyczne w Amsterdamie. Maluje w stylu tradycyjnym pejzaże i martwe natury, lubując

krzyżowy symbolizowałyby ludzi, naturę czy przyrodę. W swym dążeniu do najbardziej prostych form, dia syntezy otaczającego go świata, artysta dochodził wreszcie do form geometrycznych, kwadratów i prostokątów, a ośniony doświadczeniami fowistów, stosuje kilka, ale jedynie podstawowych kolorów.



Piet Mondrian: „Martwa natura z wazą” (1912) i „Obraz nr 9” (1939—1942)

przeniesiona do Berna w Szwajcarii. Ekspozycja składa się z ponad stu obrazów Mondriana, wyprodukowanych z muzeów i prywatnych kolekcji z wielu krajów. Przypomnijmy przy okazji, że ostatnia retrospektywna wystawa Mondriana odbyła się w Paryżu w roku 1969.

Obecna wystawa, podobnie jak i tamta sprzed trzech lat, pozwala na przedświecenie bardzo ciekawej i różnorodnej drogi twórczej tego holenderskiego malarza.

Piet Mondrian właściwie Mondriaan — pisownie nazwiska zmienili osiadłszy w Paryżu urodził się w roku 1872 w małej miejscowości pod Utrechtem, w Holandii. Był o dwadzieścia lat młodszy niż jego rodak van Gogh, ale obydwoje holenderscy malarze mieli całkowicie różny temperament twórczy. Zywiołowość malarstwa van Gogha kontrastuje w wysokim stopniu z chłodnym, przemysłowym, wyrozumowanym czy nawet wy-

się w ciemnych barwach, nastrojowości, blasku księżycy, Nieznany mu jest jeszcze modny wówczas we Francji impresjonizm, przejawia za to tendencję do symbolicznego przedstawiania postaci, do wydobycia relacji między przeżyciami wewnętrznymi człowieka, ujawniającymi się w jego postaci czy twarzy, a jego otoczeniem. Wkrótce obsesją Mondriana, obsesją, która utrzyma się i rozwine w ciągu całego życia będzie swoisty „dialog” między

liniami — horyzontalną a wertykalną. Zafascynowany w swoim czasie teozofią, Mondrian stara się przedstawić świat również jako swoiste pojęty dialog poziomu (ziemi) i pionu (nieba) przy czym o ile linia pozioma bywa zazwyczaj linia horyzontu, pion jest nieraz linia wyimaginowaną prowadzącą w rozumieniu artysty np. od księżycy na niebie, prostopadle ku linii poziomej — ziemskiego horyzontu. Wplecione w obraz

Na twórczość Mondriana niewątpliwie wielki wpływ wywarł Paryż. Początkowo odwiedza go dwukrotnie (między latami 1912 a 1914) później przebywa w stolicy Francji bez przerwy w latach 1928—1932. Prawdziwa rewelacja staje się dla niego zetknięcie z kubizmem lecz nie ulega mu, zarzucając temu kierunkowi to właśnie co wydaje się być w nim istotne, to jest usiłowanie przedstawienia przedmiotów przestrzennie na płaskiej powierzchni płótna.

Mondrian wyjeżdża później do Ameryki, gdzie jego twórczość cieszy się dużym uznaniem. Udoskonalając stale swój artystyczny warsztat Piet Mondrian dochodzi do kompozycji czysto architektonicznych, marzy zresztą o wypowiedzeniu się w architekturze, a jego rozwiązania malarskie znajdują następnie istotnie zastosowanie tak w architekturze jak i sztuce dekoracyjnej.

„KOCHAM CIE, ZIZI...”

„Kurtyna się podnosi, Muzyka, światła, dekoracja, kostiumy (lub ich brak) wprowadzają nas w świat feerii kolorów” — czytamy w tygodniku „L'Humanité Dimanche” o ostatniej rewii w „Casino de Paris” zatytułowanej „Zizi je t'aimé”. Recenzent wyraża dalsze zachwyt: „Kocham Cię, Zizi” jest prawdziwym hymnem pochwalnym nad pięknem — pięknem kobiecych i męskich ciał (nagich lub nie), pięknem dekoracji (których autorami są Pace lub Erté), kostiumów (Yves Saint-Laurenta lub Erté'a), baletów (kreowanych przez Rolanda Petit) jakich dziś już nie widzi się w music-hallach.

Zizi Jeanmaire i Roland Petit, który jest reżyserem i właściwym twórcą rewii, zmądrzeł — stwierdza recenzent hamburskiego tygodnika „Der Spiegel”. Na ich pierwszą rewii w „Casino de Paris”, przed dwoma laty, zamówił chłodne, nowoczesne dekoracje, prawdziwe arcydzieła sztuki u takich mistrzów jak Vasarely, Soto i Cesar. Teraz widzi się przede wszystkim powiew piór. „Pierwsza rewia — powiedział reżyser-choreograf i mąż Zizi, Roland Petit — była dla mnie nauką, gdy chciałem być zbyt nowoczesny. Teraz pojąłem już gusty publiczności, Milioner czy fryzjer, oni wszyscy, oczekują piór i frou-frou”. (Frou-frou — określenie francuskie ma-

jące oddać szelest fałd wytwornych czy modnych sukien).

Kostiumy są głównie dziełem słynnego obecnie Yves Saint-Laurenta, którego krawca-artysty, którego kreacje sukien są obecnie niemal tak cenione jak, nie żyjącej już, Coco Chanel. To Saint-Laurent przygotował kostiumy dla 18 różnych scen rewii, a przygotował z wyrafinowanym smakiem i gustem, również i namiot haremowy z nagim młodym sultaniem. Bowiem nie tylko girlsy tańczą w tej rewii niemal nago, ale i tancerze występują w stroju zbliżonym do biblijnego Adama. Zizi Jeanmaire, dziś już 47-letnia, tańczy wspaniale, jak to podkreślają recenzenci. W „Casino de Paris” już trzeci rok każdego wieczoru występuje na scenie. Serge Gainsbourg przygotował dla niej osiem nowych piosenek.

Na czym głównie polega niebywały sukces rewii? Chwali ją cała prasa francuska, a laureatka sprzed kilku lat nagrody Goncourtów, Edmond Charles-Roux zamieszcza długi wywiad z organizatorami rewii w poważnym piśmie literackim „Les lettres francaises”. Panuje ogólne przekonanie, że „Kocham Cię, Zizi!” utrzyma się przez dłuższy czas na scenie, jak za czasów słynnych gwiazd estradowych takich jak Mistinguett, Josephine Baker czy Maurice Chevalier.

„L'Humanité Dimanche” sądzi, że sukces ten pole-

ga m. in. a może zwłaszcza na tym, że Petit zgrabnie połączył styl nowoczesnego musicalu ze stylem dawnego „variete”, że odświeżył dawny rodzaj rewii z lat trzydziestych naszego wieku. Dzięki temu jego ostatnia rewia jest najlepszym spektaklem tego typu jaki od wielu lat może zobaczyć Paryż. I jeśli pismo ma coś do zarzucenia, to to, że piosenki Serge Gainsbourga są zbyt „inteligentne”, tekstowo i muzycznie zbyt trudne, by łatwo wpadały do ucha.

GORZKI LOS DZIECI SŁAWNYCH RODZICÓW

26-letnia córka Orsona Wellesa i Rity Hayworth, Rebecca kończy właśnie powieść, której treścią jest gorzki los dziecka zbyt sławnych rodziców.



Rebecca Welles córka Orsona Wellesa i Rity Hayworth

POLONICA

„CAHIERS DE VARSOVIE”

Nawiązując może do tradycji wychodzących przed wojną w Polsce pism francuskich, Ośrodek Cywilizacji Francuskiej na Uniwersytecie Warszawskim zaczął wydawać swój kwartalnik pt. „Cahiers de Varsovie”. Poświęcony on będzie problemom współpracy polsko-francuskiej w dziedzinie literackiej i naukowej. Organizacja pisma zajmuje się dyr. Daniel Beauvois.

W. N.

POLONICA



Zizi Jeanmaire wśród piór



CZŁOWIEK
WPLĄTANY
W PROBLEM

TERMIN, KTÓRY ZROBIŁ KARIERĘ — POKAZ POZNAŃSKICH FOTOGRAFIKÓW — ARANŻACJA PRZESTRZENI — KĄDZY BOHATEREM WYSTAWY — METAFORA W LUSTRZE — WYKRES ELEKTROKARDIOGRAMU — NOWATORSTWO SPOŁECZNE UŻYTECZNE.

Ochrona naturalnego środowiska człowieka — oto termin, który ostatnio zrobił karierę. Sama sprawa oczywiście nie jest nowa. Można rzec, że zatruwanie i niszczenie owego naturalnego środowiska zaczęło się już od chwili, kiedy człowiek uderzał po raz pierwszy krzemieniem o krzemień, dobijając ogień. Wraz z rozwojem cywilizacji techniczno-przemysłowej problem nagłe nam zogniomiał i rzecz stała się groźna.

Ochrona naturalnego środowiska człowieka staje się tematem rozpraw naukowych i rozważań publicystów, tematem apelów i wystaw. Znakomitą wystawę fotograficzną poświęconą tej sprawie sprawo, dziko do Łodzi Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne. Autorami ekspozycji są poznańscy fotograficy — Antoni Głodkiewicz, Ireneusz Jabłoński, Lech Morawski, Grzegorz Osztynowicz, Leszek Szurkowiński, Maria Wołyńska, Stefan Wojnecki, Waldemar Zleń-

siki i Ryszard Zielewicz.

Napisałem, że autorami ekspozycji są poznańscy fotograficy. Tak jest — bowiem poszczególne zdjęcia nie są same w sobie artystyczną rewelacją, rewelacją jest natomiast sugestywna, nowoczesna forma fotograficznej aranżacji przestrzeni.

Oczywiście nie sposób opisać wystawę, to trzeba zobaczyć.

Oto powtórzone sześciokrotnie powiększone zdjęcia rury wydechowej samochodu, skomponowane w półkolu otaczającym... wózek z dzieckiem. Niżej fotografia martwego ptaka. Oto podobny zabieg z powtórzonym wielokrotnie zdjęciem wylotu kanału ściekowego. Na wprost tego rytmicznie powtarzającego się zdjęcia sylwetki ludzkiej: kąpiąca się rodzina, kobieta w stroju plażowym... Na wprost lustrzana sylwetka człowieka. Każdy patrzący na ową kompozycję staje się na moment — przez swoje odbicie w lustrze — jednym z bohaterów owej przestrzeni fotograficznej.

I tak jest w istocie. Każdy z nas, każdy z oglądających ekspozycję jest przecież wplątny w ów

problem. Każdego z nas ta sprawa dotyczy — celna metafora zawarta w lustrzanej sylwetce człowieka przemawia sugestywnością, skrótem myślowym, wyrażającym dosadnie ogólnoludzki sens.

Ekspozycja robi wrażenie, działa na wyobraźnię. Po środku sali wystawowej autorzy ustawili rotundę wysokości człowieka. Zewnątrz widzimy siloszone sylwetki ludzkie na czarnym tle. Kiedy wejdziesz do środka, znajdziemy się naraz otoczeni tym samym tłumem, niejako oko w oko z ludźmi, których plecy widzimy zzewnątrz. Znajdziemy się na malej przestrzeni, otoczeni gromadą ludzi, w tłoku...

Wzdłuż ściany ciągną się powiększone kadry filmowe z błądnym człowiekiem. Ot, zwykła reporterska fotografia, ale... Całą taśmę filmową przedziela czerwona nitka wykresu EKG.

Podobnego chwytu użyto tu zresztą wielokrotnie, za każdym razem z pełną ekspresją, świadomie natężenie. Oto wzdłuż ściany przez kilka metrów biegnie układ dość banalnego zdjęcia: kominy fabryczne w tle i na pierwszym planie kikuty drzew огоłoconych

z liści, martwych. Zdjęcie się powtarza, nagromadzenie, zmasowanie nadaje kompozycji wymiary katastroficzne, przynajmniej...

Wystawa „Sygnali”, ekspozycja w salonie LTF przy ul. Piotrkowskiej, podejmuje temat ważny. Po znany fotograficy głoszą hasło — „awangardowa forma — treść społecznie użyteczna” — spełnili oba postulaty swego założenia. To nie jest zbiór bardziej lub mniej udanych obrazków — to zwarta, sugestywna, przemysłowa koncepcja aranżacji przestrzeni. Koncepcja udana i robiąca wrażenie. Fotografia artystyczna nie jest tu dokumentacją naukową, lecz — jak każda sztuka — poznaniem emocjonalnym.

Emocjonalność, metafora, skrót myślowy, nowatorstwo — oto niezaprzeczalne walory tej wystawy. Znakomita ekspozycja, którą każdy powinien zobaczyć. Każdy powinien stanąć na moment przed lustrzanym odbiciem ludzkiej sylwetki, na wprost monstrualnych kanałów ściekowych. Bowiem wystawa dotyczy nas wszystkich — ludzi XX wieku.

JERZY WIDOK

Bez strachu

OWOC ŚWIADOMOŚCI ZŁEGO I DOBREGO

Kiedy byłem jeszcze bardzo mały i krzychałem z głodu, tarto dla mnie obrane jabłko łyżeczką i wsuwano do buzi soczystą masę. Wiele lat potem dowiedziałem się, że według Biblii to pod jabłonią zdecydowały się losy rodzaju ludzkiego. To biblijna jabłoń była drzewem zakazanym, drzewem wiadomości Złego i Dobrego. Wąż namówił Ewę, by skosztowała zakazanego jabłka i poczęstowała Adama. „Będziecie jako bogowie!” — wołał wąż, nie stali się bogami, poculi jednak wstyd i strach. Są tacy, którzy twierdzą, że ten wstyd i strach trwają do tej pory pod nazwą grzechu pierworodnego. Podobno po owym grzechu anioł z ognistym mieczem wypędził ludzi z Raju na Strach i Wstyd, na ciężką pracę. Co do mnie to wyrobiliem sobie w tej kwestii własny, heretycki pogląd — to nie anioł wypędził ludzi z Raju, oni uciekli sami, spodziewając się uciec fizyczną ucieczką przed Strachem i Wstydem, a pozbyle Strachu i Wstydu mogą tylko przez powrót do tego spokojnego miejsca, które pozostało w nich samych. Mijały dzieje wymyślone i rzeczywiste, a jabłko pojawiało się raz po raz jako soczysty, lub pomarszczony symbol spraw raczej złowrogich, niż dobroliwych. Oto bogini niezgody rzuca jabłko z napisem „najpiękniejszej” pomiędzy uczujących wesoło bogów i rozpoczyna śmiertelną nienawiść pomiędzy trzema boginiami. Oto okrutny wielokrók Szawca i kładzie jabłko na głowie dziecka, dzielne go łucznicą i każe ojcu strącić strzałą jabłko z głowy dziecka. Oto kolana jak jabłko błędnącej Atalanty — oto jabłko strzeżone w ogrodzie czasu przez nieśmiertelnego smoka przed Heraklesem. Jabłko czarodziejskie i złote niezliczonych baśni. Zgnie jabłko w biurku poety, jabłko, które przypominały mu zapach jesiennego sadu i rozpaczliwym przeczcuciem śmierci skłaniały do twórczości jako do próby obrony życia. Czy zdobyli podobną błogosławioną i przekiętą sławę — seler, brukiew, pietruszka lub gruska. Byłoby w tych niezliczonych rolach, którym podobało jabłko, po prostu śmieszne. Nawet brzoskwinie ustąpić muszą w godność jabłku. Jabłko to jedyny owoc prawdziwie zdrowy, tylko jabłk może znieść najęść się do syta. Oto cierpieć w wiele miesięcy po operacji na jelita. Stary lekarz bada mnie uważnie i mówi: „Nie znam dla pana skuteczniejszego lekarstwa, jak jabłko. Niech pan je uclera i je w jak największych ilościach”. I oto znów tak, jak wtedy, kiedy byłem bardzo mały, pojadłem tartę jabłko, były dni, w które tylko jabłko mogłem trawić. Jabłko poza dobrem i złem, jabłko spożywane bez strachu.

BERNARD SZTAJNERT



JACK RITCHIE

RUDOWŁOSY MORDERCA

Samochód jechał z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę po szerokiej i bezdrzewnej autostradzie.

Obok kierowcy siedział rudowłosy młodzieniec. Niebieskie oczy błyszczały mu, gdy wsłuchiwał się w aparat radiowy samochodu. Nadawano ostatnie wiadomości dnia.

Spiker opowiadał z przejęciem, iż trwają w dalszym ciągu poszukiwania tajemniczego wampira, który od dłuższego czasu bezkarnie napada i morduje ludzi w różnym wieku i różnej płci. Przystępca posługuje się pistoletem.

Gdy zakończyły się wiadomości młodzieniec przyciszył radio.

— Jak dotąd policja odnalazła już śladem ofiar zabójcy — rzekł półgłosem.

Szofer przytaknął. — Tak, słyszałem.

Zdjął jedną rękę z kierownicy i podrapał się po głowie.

Rudowłosy młodzieniec przyglądał mu się z uśmiechem.

— Czy pan jest czymś zaniepokojony? — zapytał.

Szofer odwrócił się w kierunku pasażera. Był zły.

— Nie podobnego. Dlaczego miałbym się niepokoić?

Młodzieniec uśmiechał się dalej i patrzył przed siebie zamysłony.

— Policja zablokowała wszystkie drogi w promieniu pięćdziesięciu kilometrów wokół miasta — rzekł po chwili.

— To też słyszałem — odparł szofer.

Pasażer uśmiechnął się szyderczo.

— To jakiś niezwykle sprytny człowiek. Nie mogą sobie z nim dać rady. Tropią go już od czterech miesięcy.

Szofer spojrzał na torbę podróżną z błyskawicznym zamkiem, którą nieznanemu trzymał na kolanach.

— Czy pan jedzie daleko? — zainteresował się.

Pasażer wzruszył ramionami.

— Nie wiem jeszcze.

Był trochę niższy niż średniego wzrostu, drobnej budowy ciała. Wyglądał na dwadzieścia lat, lecz mógł mieć więcej.

Kreślił się niespokojnie i obserwował okolice.

— Czy pan kiedy pomyślał, co go pcha do tych morderstw? — zapytał niespodziewanie rudowłosy pasażer.

Szofer trzymał oczy bacznie skierowane na szosę.

— Nie wiem, nie myślałem o tym.

Młodzieniec przygryzł wargi.

— Może go źle traktowano... Może był krzywdzony przez całe życie... Clerpiął, aż wreszcie przebrała się miarka... I nastąpił wybuch.

Szofer milczał.

Po obu stronach szosy pokażał się las.

Młodzieniec utkwiał w nim wzrok.

Nagle odwrócił do szofera.

— Dlaczego pan zwalnia?

— Zabrakło mi benzyny.

Auto zjechało z szosy i skręciło na boczną drogę. Z daleka widać było dwie stacje benzynowe. Zatrzymali się przed jedną z nich.

Z małego domu wyszedł stary człowiek i zbliżył się do samochodu.

— Co pan rozkaże? — zapytał.

— Proszę napelnąć zbiornik — rzekł szofer. — Trzeba też skontrolować stan oleju.

Trwało to dość długo. Zniecierpliwiony młodzieniec kreślił się jak na rozżarzonych węglach. Był zły.

— Ten stary zajmuje nam kupę czasu. Nie lubię czekać! Co za niedolega! Mógłby już iść na emeryturę. Takich nam nie potrzeba.

Szofer zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

— Na pewno ten człowiek nie zgodziłby się z panem.

Gdy starszek ukończył swą pracę i wrócił znów do auta, żeby wydać resztę z otrzymanych pieniędzy, młodzieniec wychylił głowę z okienka samochodu i zapytał:

— Czy pan ma radio?

Starszek potrząsnął przecząco głową.

— Dlaczego?

— Nie mam, bo lubię spokój i ciszę.

Rudowłosy uśmiechnął się ironicznie.

— Ma pan rację.

Samochód ruszył dalej. Gdy wjechał na autostradę, kierowca przywrócił szybkość osiemdziesięciu kilometrów.

Młodzieniec wiercił się niespokojnie.

— Trzeba mieć wielką odwagę, żeby zabić siedem osób... I zabija przeważnie mężczyzn.

Prawda?

Szofer nie odezwał się.

— Czy pan miał kiedy w ręku pistolet? — zapytał nagie pasażer.

— Myślę, że tak.

— A czy pan wycelował kiedy broń przeciwko jakiemuś człowiekowi? I gdzie to było?

Rudowłosy czekał z niecierpliwością na odpowiedź. Oczy mu błyszczały.

Szofer milcząc zwiększył szybkość jazdy.

— To wspaniałe uczucie, gdy się widzi jak ludzie boją się — gorączkował się pasażer.

— Naprawdę?

— To jest wielka odwaga zabić kogoś — powtórzył jeszcze raz młodzieniec.

— Chyba nie. Jeden z tych, którzy zostali zamordowani, był starym i zupełnie nieszkodliwym człowiekiem, ot jak ten, którego widzieliśmy na stacji benzynowej.

Oczy młodzieńca przez chwilę wydawały się niepewne i zdziwione.

— Jak pan myśli, dlaczego ten poszukiwany przez policję przestępca zabił starego człowieka?

Szofer wzruszył ramionami.

— Trudno mi to wyjaśnić. Może było tak: najpierw zastrzelił pierwszą osobę, potem drugą, potem jeszcze jedną... I potem szło coraz łatwiej...

Młodzieniec kiwał głową i milczał.

Nagle wykrzyknął: — Może ogarnęła go jakaś dzika radość zabijania? Może to szalenie?

Zwiliżył wargi i szepnął po chwili:

— Nie złapia go nigdy, nigdy... To cwany chłopak...

Przejechali kilka kilometrów w milczeniu...

Wtem pasażer odwrócił się do szofera i przyglądał mu się uparczywie...

— Czy pan słyszał w radiu opis jego wyglądu?

— Naturalnie, słyszałem nieraz.

— I nie bał się pan zabrać mnie do swego samochodu? — zapytał podnieconym głosem.

— Nie bałem się. Dlaczego miałbym się bać?

— Jestem bardzo podobny do poszukiwanego przestępcy. Włosy, wzrost, wiek. Czy pan nie zauważył?

— I co z tego?

— Wszyscy mnie się boją, niektórzy uciekają na mój widok.

— Przypuszczam, że to pana bawi — mruknął niechętnie szofer.

— W ciągu ostatnich dwóch dni byłem czterzy razy zatrzymany na tej drodze przez policjantów. Pisali o mnie w gazetach. Podawali nawet fotografie. Zrobili mi reklamę prawie tak wielką, jak temu zbrodniarzowi.

— Wiem o tym, czytałem o panu — odpowiedział spokojnie szofer.

— No i co pan o tym myśli?

— Myślę, że niedługo będzie pan miał jeszcze większą reklamę. Właśnie wyobrazałem sobie, że spotkam pana na tej autostradzie.

— Dlaczego pan zwalnia?

— Zaraz się pan dowie.

— Co to znaczy?

— Proszę mi się dobrze przyrzed... Co pan myśli o mnie?

— Nie... wiem...

— Czy i ja także nie odpo-



Fot. Pavol Havran

widam rysopisowi przestępcy podawanemu przez policję? — Nie! Chyba nie! — krzyknął przerażony pasażer. — Dlaczego nie? — Pan ma przecież czarne włosy! A jego włosy są rude. Zupełnie jak moje. Auto przystanęło. Szofer uśmiechnął się po raz pierwszy. — Ale mogę mieć włosy ufarbowane. Chłopiec wytrzeszczył przerażone oczy. Nagle zrozumiał, co się za chwilę stanie... To on będzie ósmą ofiarą! Zbrodniarz wydzignął pistolet i strzelił. Rudowłosy krzyknął przeraźliwie i osunął się na ziemię. W tej samej chwili nadjechały z tyłu dwa wozy policyjne... A. S.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ J. WILMAŃSKI — Jacy jesteśmy?
- ★ K. BADZIAK — Łódzkie szanse
- ★ B. MADEJ — Nie tajny mi twój los

oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna



Lewym okiem

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ

Kolegów, z którymi wspólnie siedzieliśmy szmat czasu w żołnierskich lagrach jenieckich, a którzy już wtedy prowadzili skrzętne zapiski dla potomnych, nazywaliśmy z prześmiechem Kadłubkami. W każdym obozie było kilku takich Kadłubków. Uważaliśmy za wielką zarozumiałość mniemanie, że czyjeś uwagi warte będzie akurat życie i myśli moje, twoje, tego gościa z górnej przychy i tego chudego typa z rewiru. Dziś okazuje się, że w całej lawinie wydawanych pamiętników z najróżniejszych stref i rejonów polskiej historii najnowszej wcale, albo mówiąc ostrożniej, prawie wcale nie ma pamiętników jenieckich. Okazuje się też, że bardzo szkoda, że nie ma i że musimy poprzestać na Francuzie Ambriere, ostatnio u nas wydanym („Wielkie wakacje”), chociaż francuski jeniec był czymś zupełnie innym od polskiego żołnierza w niewoli.

Gdzież więc podziały się zapisane drobnym maczkiem kajety Kadłubków? Może sami uznali tę pi-

sanię za funta klaków nie warta, odłożyli ją do najgłębszej szuflady, zgubili w powojennych peregrynacjach. Większość zapisków zmarowała się na pewno podczas ostatnich tygodni wojny, w zamęcie nagłych ucieczek, ewakuacji, gonitwy, śmiertelnych marszów, bombardowań, frontów. Może czasem coś tam trafiło na redakcyjne biurka i okazywało się zbyt surowe, nieciekawe, nie warte publikacji. W każdym razie ten teren, jak dotąd, nie został skwitowany żadnym znaczącym tomikiem wspomnień.

A przecież faktem jest, że pamiętniki stały się na naszym rynku nieoczekiwanie jednym z najbardziej ulubionych rodzajów lektury. Zjawisko jest niewątpliwe, poświęcono mu już zresztą sporo uwagi na łamach czasopism literackich. Do wyjątków należą starsi wielkimi aktorzy, nie publikujący pamiętników. Dla aktora jest to być może ostatnie szumne wejście na scenę, utrwalenie własnej legendy, ciułanej przez całe życie, a wzbogaconej w memuarach wzmiankami o wielkiej żayłości, jaka łączyła autora z największymi gwiazdami niegdysiejszych firmamentów. Pamiętnikami też kończą karierę wielcy mężowie stanu, dowódcy, dyplomaci. Żaden z nich nie napisze i nie może napisać wszystkiego co wie. Ale i ta cząstka, która znajduje się w druku stanowi często pasjonującą lekturę i rzuca wiązkę jasnego światła na wiele zdarzeń z niedawnej przeszłości. Ta kategoria pamiętników jest niewątpliwie najciekawsza i najbardziej czytana, chociaż zdarza się, że postać prawdziwie historyczna, ktoś, od kogo zależało niezmiernie dużo, kto uczestniczył i grał niepoślednią rolę w wielkich wypadkach dziejowych, rozpisuje się w swych pamiętnikach o słoneczku i chmurkach, o falach szumiących na morzu i o tym, co przypominały kształty

dawno widzianych drzew. Taki pamiętnik jest braniem czytelnika na fundusz głośnego nazwiska autora. To bywa.

Jeszcze inną kategorię stanowią autentyczne, spontaniczne pamiętniki — że je tak nazwę — środowiskowe. Pełne autentycznych realiów z terenów niedostępnych dla większości czytelników, tętniące prawdą, która bez literackich przystawek okazuje się fascynująca. Ale musi to być prawda, bez niej zostaje czysta, nieznosna grafomania.

Nareszcie zwrócić na to uwagę K. Koźniewski w drugim numerze „Literatury”. No bo co to miało być: „Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa”? Mające swój zarząd, biuro, oddziały wojewódzkie, może i powiatowe? Podobno opracowywano tam wzorce i warunki formalne, jakim powinien odpowiadać dobry pamiętnik. Może wymieniano doświadczenia w zakresie pisania pamiętników, analogicznie jak to się dzieje w Towarzystwie Przyjaciół Kanarka? Może organizowano kursy, szkolenia i egzaminy. Pamiętnikarstwo dyplomowane. Pamiętnik wypunktowany, tylko brać żywcem i rozkładać go na kratki i rubryki socjologicznych ankiet. Pamiętnik nadający się do zwiększenia stosów brudnego papieru po tysiącach archiwalnych piwnic, ale niepotrzebny czytelnikom, skazany z góry na odepchnięcie, na absolutne desinteressement. Po co to komu?

Tylko nie za dużo instytucji! — powiada Koźniewski. Otóż to. Maluczko, a doczekamy się powołania Towarzystwa Przyjaciół Niebieskich Migdałów. Myślenie o niebieskich migdałach też należałoby ująć w reguły, przepisy i harmonogramy; bez tego psychologia ich naukowo nie rozpracuje!

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Mako-wiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Słokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-70, 217-99 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięczne 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 606 D-4.